WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA W KRAKOWIE WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 4 KORONY.
NUMER POJEDYŃCZY 20 h.
20 CENTIMÓW, 20 FENIGÓW, 10 KOP.

GŁOS
LITERACKI I SPOŁECZNY.

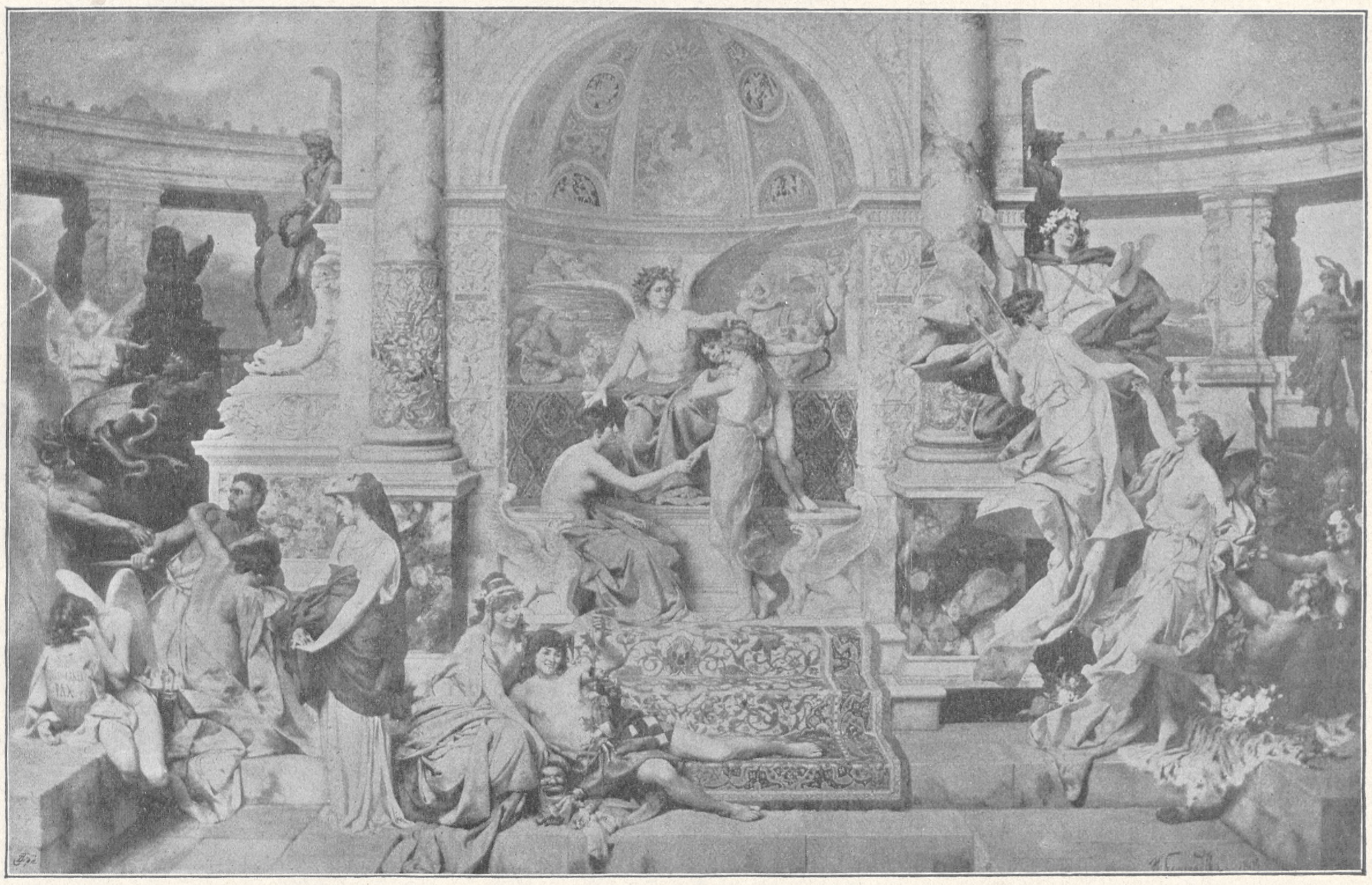
WYCHODZI — CO NIEDZIELĘ.
PRENUMERATA ZAMIEJSCOWA WYNOSI:
DO KOŃCA ROKU 5 KORON.
ZA GRANICĄ — 5 MAREK, 5 FRANKÓW ALBO 2 RUBLE.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG. Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7. Telefon nr. 309. Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI.

„Głos literacki i społeczny“ dołączany jest jako bezpłatny niedzielny dodatek dla wszystkich abonentów dziennika „Głos Narodu“.

Nr. 16. Kraków, dnia 28. października. 1900.

HENRYK SIEMIRADZKI.



Kurtyna w teatrze krakowskim.



Kurtyna w teatrze lwowskim.

Teatr ludowy w Galicyi.

Od kilku tygodni zajmują się już nasze pisma sprawą teatru ludowego, a raczej nie tyle nią samą, ile referatami i elaboratami, ponadsyłanymi przez zaproszonych znawców. Zaprosił ich wydział krajowy, przed przystąpieniem do rozpatrzenia wniosku sejmowego, który uznał potrzebę założenia teatru ludowego w naszym kraju.

Na wstępie muszę zaznaczyć, iż zapytania, wystosowane przez wydział krajowy do odnośnych znawców, postawiły samą kwestyę w najnieudolniejszy i najciaśniejszy na świecie sposób, tenor ich jest bowiem następujący:

1) Czy i w jaki sposób dałoby się w dzisiejszych stosunkach teatralnych urzeczywistnić urządzenie wędrownego teatru ludowego?

2) Określenie zasad, na jakich miałaby się oprzeć przyszła jego organizacya.

Byłbym bardzo ciekawy, co to za znawca sprawy teatru ludowego zadecydował już z góry, iż ma on być koniecznie wędrownym? Czyż takie stawianie kwestyi nie jest dowodem iście dyletanckiej płytkości w traktowaniu całej sprawy? Czyż wydziałowym ekspertom nie przyszło na myśl, że zawiązywanie kilku wędrownych trup (bo jedna lub dwie nie mogłyby przecież wystarczyć dla całej Galicyi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem). -- musiałoby pociągnąć za sobą niesłychane koszta? Czyż nie zastanowili się nad tem, że różnoraki poziom umysłowy ludu miejskiego, małomiasteczkowego i wiejskiego da możność częściowego posługiwania się (przynajmniej odnośnie do miast) teatrami już istniejącymi? Po cóż więc to narzucanie znawcom gotowej już formuły?

Powtóre, oddając należną cześć olbrzymiej erudycyi i niepospolitemu znawstwu takich ludzi, jak dr. K. Estreicher, który jest dzisiaj bezsprzecznie największą powagą w Polsce na polu teatralnem, należy się zdziwić, że nie wezwano do narady tych, którzy najwięcej mogliby w tej kwestyi dać wyjaśnień, ludzi dobrze obeznanych z prowincyą i ludem, jego upodobaniami i smakiem. Do tej kategoryi należy zaliczyć dyrektorów trup prowincyonalnych, reżyserów Towarzystw amatorskich po małych miastach i miasteczkach, i kierownika Towarzystwa „miłośników sceny“ we Lwowie.

Przedewszystkiem zaś należało zaprosić do narady posłów ludowych, bo oni jedynie, bądź wyszedłszy z łona ludu, bądź też żyjąc wśród niego długie lata, są w stanie udzielić racyonalnych wskazówek co do tego, jakim ma być ustrój i repertuar mającego powstać teatru.

Od nich możnaby się w tym względzie daleko ciekawszych rzeczy dowiedzieć, aniżeli od p. Gawalewicza, który na podstawie krótkich doświadczeń, poczynionych z ludowym teatrem w Warszawie, założonym pod egidą rządu rosyjskiego, więc już eo ipso omijanym przez patryotyczną ludność Warszawy, wyprowadza najfałszywsze w świecie wnioski co do rozmiarów, frekwencyi oraz repertuaru teatrów ludowych w Galicyi. W kwestyi „memoryału“ p. Gawalewicza zastrzegam sobie jeszcze głos na później, zaznaczając tylko raz jeszcze, że zarówno premisy jego, jak i wnioski z nich wyciągane, są po największej części mylne. W razie zaś, gdyby którzy z wyżej wymienionych, prawdziwych ekspertów przyszłego teatru ludowego zostali rzeczywiście zaproszeni przez Wydział krajowy do udzielenia stosownych wyjaśnień, to należy wielce żałować, iż zdanie ich zostało pokryte głębokiem milczeniem...

Tyle co do ankiety, rozpisanej przez wydział krajowy. Mojem zdaniem, przy roztrząsaniu kwestyi ludowego teatru należy przedewszystkiem nie oglądać się na to, o co Wydział krajowy zapytuje, lecz, postawiwszy jako założenie, iż lud nasz potrzebuje teatru jako środka rozrywki i nauki, rozpatrzyć drogi, na których dałoby się ono urzeczywistnić.

Zaznaczając odrazu na wstępie, że inicyatywa pieniężna powinna wyjść od Wydziału krajowego, względnie od podległych mu autonomicznych Rad powiatowych, przystępuję do samej kwestyi urządzania widowisk.

Najtrudniej będzie ją rozstrzygnąć, ile chodzi o Lwów i Kraków. Ludność tych miast ma sposobność zapoznania się z dobrym teatrem, tanie miejsca są dla niej względnie dość przystępne, więc też od czasu do czasu przynajmniej zagląda do miejskiego przybytku Melpomeny. A kto choćby raz widział dobry teatr, ten nie zadowolni się potem bylejaką, licho odegraną sztuką. Przytem, drugi teatr w mieście, chociaż założony nibyto dla szerokich, niższych warstw społecznych, pociągnie samym urokiem nowości i z konieczności tanim wstępem nawet inteligentne sfery, czyniąc w ten sposób uszczerbek teatrowi miejskiemu. Niebezpieczeństwo konkurencyi zwiększy się jeszcze bardziej, gdy zważymy, iż ze względu na stopień dojrzałości umysłowej ludu miejskiego, repertuary obu teatrów nie mogą zbyt od siebie odskakiwać. Lecz o tem niżej.

Z wymienionych zatem przyczyn zakładanie teatrów ludowych w obu stolicach, uważałbym za kosztowny i — niepotrzebny eksperyment, niepotrzebny dla tego, że odpowiednie użycie już istniejących miejskich teatrów wystarczy w zupełności na zaspokojenie potrzeb, że tak rzekę, dramatycznych, miejskiego ludu. Codzienne, jak to ma miejsce w Warszawie, spektakle, są wobec nielicznego stosunkowo zaludnienia Lwowa i Krakowa, rzeczą niemożliwą do wykonania i niepotrzebną, gdyż teatr ludowy, grający co wieczora, musiałby 5 razy w tygodniu świecić pustkami. Dla *gros* naszej ludności miejskiej jedynie sobota i niedziela są dniami, w których mogą poświęcić kilka godzin na rozrywkę; praca zawodowa w inne dni nie dozwoli np. rzemieślnikowi lub czeladnikowi prawie nigdy wydalić się z warsztatu przed godziną 8-mą wieczorem.

Wobec tego możnaby zawrzeć układy z dyrekcyami obu teatrów miejskich, o dawanie stałych popołudniowych przedstawień w niedziele i święta, po cenach możliwie najniższych, oraz o rezerwowanie w dni przedświąteczne niektórych miejsc w amfiteatrze (u nas galeryi i parteru) równie po nader niskich cenach. W miarę tego jak zamiłowanie do teatru w odnośnych warstwach będzie wzrastało, za czem może pójść ewentualnie niewielka zmiana czasu kończenia pracy — będzie też można rezerwować wspomniane miejsca i w dni powszednie.

Jedynym zarzutem, jaki możnaby temu projektowi uczynić, jest to, iż nie uwzględnia ewentualnej bardzo licznej frekwencyi warstw ludowych. Otóż mojem zdaniem o natłok trudno się na razie obawiać, gdyż ta część ludności, dla której są przeznaczone owe przedstawienia, będzie się musiała dopiero rozsmakować w teatrze, zwłaszcza gdy na afisz wejdą nie sztuki przystosowane do obecnego smaku ludności, lecz takie, na których ten smak będzie się dopiero kształcił.

Projekt, jaki powyżej w ogólnych zarysach podałem, jest już oddawna wprowadzony we Włoszech, gdzie w pierwszorzędnych teatrach popisują się pierwszorzędni śpiewacy przed widownią, w której najdroższe miejsce kosztuje 2 lire (około 1 złr.) Stosowny układ Wydziału z Dyrekcyami teatrów, (poręka Wydziału za ewentualny niedobór), mógłby wyjść tym ostatnim tylko na korzyść materyalną.

Najprościej przedstawia się roztrząsany obecnie problemat w odniesieniu do miast prowincyonalnych. Prawie w każdem znajdzie się sala, mogąca pomieścić kilkaset osób, oraz dobre towarzystwo amatorskie, które, przy odpowiedniem zgraniu się, odpowie mojem zdaniem w zupełności wymogom sceny ludowej. Te warstwy, dla których będą urządzane przedstawienia, nie chodzą do teatru po to, aby krytykować aktorów, lecz dla zabawy, i staranna wystawa sztuki, oraz jej treść, pokryją dla ich oczu ewentualne braki w wykonaniu. Towarzystw amatorskich i to dobrych, mamy po prowincyi bardzo wiele; subwencya udzielona na kostyumy i dekoracye, które muszą być ładne, wystarczy w zupełności aby postawić je na stosownym w tym razie poziomie. Przytem, zarówno garderoba jak i dekoracye mogą być przesyłane na zmianę do różnych teatrów, przez co uzyska się i rozmaitość repertuaru i zmiejszenie kosztów. Tutaj jest również miejsce na zawieranie umów z lepszemi prowincyonalnemi trupami, któreby mogły grywać w pewne oznaczone dni te sztuki ze swego repertuaru, które przez władzę nadzorczą teatru ludowego byłyby uznane za stosowne. Nie potrzebuję dodawać, że taki układ przyczyniłby się znacznie do podniesienia zarówno artystycznego poziomu trup prowincyonalnych, jako też i warunków bytu, wśród których żyją te kopciuszki Melpomeny.

Co się tyczy wsi, to należy odróżnić miejscowości leżące blisko miast i miasteczek, od tych, które są położone na uboczu. W pierwszych mogłyby funkcyonować miejskie trupy amatorskie, drugie musiałyby być obsługiwane przez wędrowne towarzystwa. Podniesiony przez p. Gawalewicza projekt tworzenia trup amatorskich złożonych z włościan, uważam za wysoce niewłaściwy i przeniesiony z Niemiec oraz Czech na nasz grunt, bez uwzględnienia i znajomości natury oraz temperamentu naszych włościan. Taka zabawa w teatr, nie pozostałaby z pewnością bez ujemnego wpływu na chęć do pracy, a zabierając masę czasu na próby i przygotowania, nie dawałaby jeszcze żadnej gwarancyi powodzenia ani pod moralnym, ani też materyalnym względem. Scena, jeżeli ma działać umoralniająco, musi być otoczona pewnym nimbem tajemniczości; nauki i przestrogi płynące z ust nieznanego chłopu aktora, wywrą na nim większe chyba wrażenie, niż wygłaszane Jankom i Tomkom przez Bartków i Grzelów, którzy wczoraj kopali wraz ze słuchającą ich publicznością buraki, a jutro mogą być przez nią obici w karczmie, lub na jakiem hucznem

---

„Psubraty“.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

(Ciąg dalszy.)

— Widzisz, ja ci to z własną stratą mówię, bo ja na Salce dobry bym zrobił interes. W Konstantynopolu i w Ameryce bardzo takich jak ona potrzebują i dobrzeby mi zapłacili. Ale ja już ten fach rzuciłem, bo ja na nerwy chory jestem i nie mam zdrowia na te ciągłe ciuciubabki z policyą. Dlaczego ja nie mam zresztą dopomódz mojemu biednemu współwyznawcy? Ty, Efroim, złoty interes zrobisz, żeniąc się z Salką...

I Efroim ożenił się, ale na złotym interesie cokolwiek się zawiódł, naprzód dlatego, że jakkolwiek przewidywania swata sprawdziły się w zupełności i Sali w oczach się zmieniała, wyrastając z kopciuszka w olśniewającą piękność, — to jednak jedno nie było wzięte w rachubę: miłość Efroima. Efroim bronił się przed tą miłością jak mógł, wiedząc, że to jest jedna rzecz, która nie da się zamienić na pieniądze. Ale nie obronił się. Walka pomiędzy żądzą zysku, a pragnieniem zachowania Sali jedynie dla samego siebie była odtąd dramatem jego życia. Dramat ten przybrał tragiczny obrót od chwili, kiedy Sali, znudzona nędzą, wyjechała pewnego dnia z Odessy w towarzystwie kochanka, który nie wahał się ani chwili uczynić z nią to, czego zakochany Efroim uczynić się wzbraniał. Adolf Spitzbart — on to bowiem był towarzyszem podróży pięknej Sali Windstein — przywiózł ją do Wiednia i począł kształcić w śpiewie, wyszukując tymczasem w najwyższych sferach protektorów dla czarującego kwiatu wschodu, ukrytego starannie przed okiem zwykłych śmiertelników. „Engagement“ w Karlteatrze i willa w Praterze były dziełem tej działalności Spitzbarta.

Sali nie należała jednak do tych bierných natur, które pozwalają się używać za towar do wyzysku. Raz ujrzawszy się artystką, otoczona zbytkiem i komfortem przez wielbicieli, położyła Spitzbartowi warunki, które on rad nie rad przyjąć musiał. Musiał się zadowolnić tem, że diwa nie odbierała mu swoich łask osobistych i że pozwalała mu korzystać z jej wpływów i czaru do swoich interesów; fala pieniędzy jednak, która płynęła do jej stóp, jej wyłączną stawała się własnością.

Właśnie w chwili kiedy ta nowa postać rzeczy wywoływała ostre zatargi pomiędzy córką odeskiej sklepikarki, a byłym galicyjskim kelnerem, zjawił się w Wiedniu najniespodziewaniej Efroim. Po całym świecie szukał on w rozpaczy swojej wiarołomnej żony; znalazłszy ją, nie wiedział nad czem więcej rozpaczać, nad upadkiem ukochanej kobiety, czy nad stratą interesu, z którego inny ciągnął zysk. Złamany i upokorzony stanął wreszcie przed Spitzbartem i zaproponował mu spółkę. Chciał przynajmniej uratować interes, skoro już nie mógł wyleczyć serca.

Spitzbart rozważywszy wszystko, przyjął Efroima do spółki w swoim nowym zawodzie. Przedewszystkiem pozbywał się w ten sposób kłopotów dość niemiłych, bo Efroim groził mu skargą o uwiedzenie; potem w rękach Spitzbarta prawa mężowskie Efroima mogły być wcale nie złym atutem wobec wyłamującej się z posłuszeństwa Salki.

Dowiedziawszy się o dopuszczeniu Efroima do spółki, Sali z początku nie posiadała się z wściekłości, później pogodziła się jednak z losem, pod tym warunkiem, że dawny jej mąż nigdy jej nienawinie się na oczy. Daremnie Efroim pisywał czułe listy w żargonie, daremnie całemi godzinami wyczekiwał przed willą swojej żony, aby zbliżyć się do niej, wówczas kiedy będzie wsiadała do powozu. — Sali unikała go starannie.

Wreszcie Efroim przyzwyczaił się do swego losu; odczuwał jednak ciągle ogromne pragnienie pomówienia z kobietą, której posiadanie napełniało go niegdyś takiem szczęściem. To pragnienie było powodem owych starań o rozwód, jakie rozpoczął u rabina. Nie myślał o tem, aby te starania doprowadzić do skutku. Miał wszakże błysk nadziei, że w ich toku uda mu się zobaczyć oko w oko Sali, odetchnąć wonią jej sukien, napoić oczy blaskiem jej twarzy. Nie zwierzył się dotychczas z tego nikomu, to też pierwsze pytanie Spitzbarta po wejściu do niskiej, brudnej izdebki Efroima na Leopoldsztadzie, brzmiało;

— Cóż to za nowy kawał, Efroim z tym rozwodem? Sali jest wściekła na ciebie.

— To ona już wie? westchnął Efroim i począł gładzić prawy pejs. Tem lepiej. A za co ona ma być wściekła na mnie! Przecie ja chcę jej dobrze zrobić. Ja jej chce wolność dać. Tak jak jest dzisiaj, to nie może być... Jej się może trafić za mąż pójść...

— Czy ty Efroim głupi jesteś, czy udajesz głupiego... To właśnie całe szczęście, że ona nie może za mąż pójść... U niej codziennie bywają tacy hrabiowie, co się z nią chcą żenić. Cóżbyśmy wtedy zrobili, gdyby jej przyszło do głowy zakochać się w którym z nich...

— Sali się nie zakocha.., — potrząsnął Efroim sentymentalnie głową... Jeżeli wyjdzie za kogo za mąż, to tylko za ciebie, Adolf...

— O, o to bądź spokojny, Efroim — odpowiedział z uśmiechem Adolf — nam to ani w głowie. Tak jak jest, jest dobrze... Idź do rabina i powiedz, że ty się już nie chcesz rozwodzić, żeś ty się z żoną pogodził... Z tego będą jeszcze jakie głupstwa... Rozniesie się jeszcze po świecie, że Sali jest żoną takiego obskurnego żyda jak ty i to nam jeszcze gotowo zaszkodzić w interesach...

— Nie bój się... U rabina dawno już wiedzieli, że Sali jest zamężna... Jakem tylko wymienił swoje nazwisko i powiedziałem że jestem z Odessy, rabin mi się zaraz spytał, czy Salka jest moją żoną... On mnie bardzo do rozwodu namawia... On mi obiecał, że jak nie poskutkuje wezwanie, żeby ona do niego przyszła, to on sam do niej pójdzie.

— Ja chciałbym przytem być, jak Sali będzie z rabinem rozmawiała! rozśmiał się Adolf. Niema o czem mówić, Sali nigdy nie zgodzi się na formalności rozwodowe?... Na co jej to... Zresztą rób sobie, co ci się podoba... Może to i nie szkodzi, trochę ją poirytować... Ale my mamy do mówienia o geszeftach. Jesteś już zebrany... Jedziemy za pół godziny do Berlina... Czeka nas tam nielada zadanie wyśledzenia takich ludzi, których nie może wyśledzić policya...

— Kogo ona może wyśledzić! Przecie już tyle razy musieliśmy pomagać...

— Tak, aleśmy mieli do rozporządzenia wszystkie sposoby, jakiemi się może posługiwać. Działaliśmy z nią, a teraz musimy działać nietylko bez niej, ale ukrywając się przed nią... Idzie o wyszukanie jednego z moich dawnych przyjaciół który jest posiadaczem miljona, ale równocześnie musi się chronić przed pościgiem policyjnym, bo miał pewne zatargi z kodeksem karnym. Przy nim teraz będzie można dużo zarobić. Jeżeli go znajdziemy, kto wie, czy będę potrzebował stać między tobą Efroim a Salką... Kto wie, może się jeszcze pogodzicie i będziecie żyć w przykładnej zgodzie...

W pół godziny potem Adolf Spitzbart i Efroim Windstein byli już w drodze do Berlina.

. . . .

Taki był prolog do wypadków, które w jaki dziesiątek lat potem wywołały w naszym kraju ostatecznemi swojemi konsekwencyami wstrząsające wrażenie.

(C. d. n.)

Wacław Pancerz.

weselisku. Przytem przedstawienie teatralne na wsi, jeżeli ma zainteresować całą wieś, powinno odbywać się bez długich przygotowań, bez roznoszenia po wiosce komicznych lub choćby i poważnych szczegółów z prób i repetycyj. Teatr przybywa, daje spektakle i natychmiast wyjeżdża w dalszą drogę; takie postępowanie podnieci ciekawość przed spektaklem a obudzi żal, „że się już skończyło“, nie mówiąc już o tęsknem wyczekiwaniu następnej „komedyi“. Co się zaś tyczy strony materyalnej, to łacniej można przypuścić, iż chłop da „szóstkę“ aby zobaczyć aktorów lub choćby amatorów, aniżeli, że będzie płacić za oglądanie swoich, dobrze mu znanych komilitonów od cepa i towarzyszek przełazowych flirtów. Wszelkie odwoływania się na Oberammergau oraz na trupę „Tegernseer'ów“ i „Schlierseer'ów“ może, zwłaszcza co do dwóch ostatnich, przemawiać raczej przeciw tworzeniu trup włościańskich, niż za niemi, gdyż przedstawienia pasyjne grane nb. przez całą wieś, skutkiem czego odnośna gmina ich już nie widzi, gromadzą tłumy... inteligencyi, a dwa ostatnie towarzystwa grają przeważnie w Wiedniu i innych wielkich miastach. Przepaść, dzielącą stan kulturalny naszego wieśniaka od Niemców i Czechów zostawiam już na boku; dodam jedynie, iż mojem zdaniem, to, co w obec wysokiej pracowitości i poczucia obowiązku *tam*, może nie być tak dalece szkodliwem, u nas byłoby z pewnością powodem rozpróżniaczenia ludności wiejskiej. (Dok. nast.) *W.*

Kazimierz Lubecki.

Z cyklu p n. „Sonety Rzymskie“.

Na Monte Pincio.

Góra, zielenią wrząca. Na niej, jak [w ognisku
Płomieniste języki, tak zieleni masy
Buchają, pełne jasnej południowej krasy,
A w potędze podobne wulkanów zjawisku.

Opływa lawa winnic. Hen, przy obelisku
Złocistą zielonością wrą laurów lasy,
Na nich kipią cyprysów granatowe pasy,
A tęcza, jako ogień, pała w wodotrysku.

Czerwonymi kwiatami palą się kaktusy,
Lśnią od słońca oliwek i pomarańcz gaje
I jaśnieją dnia pełnią niebiosów turkusy.

A czemuż zmrok zieleni egzotyczne kraje
Porzuca, na tych czarów nie bacząc pokusy,
I, błyszcząc patrzy na Rzym, co bledszym [się zdaje?

Kaplica Syxtyńska.

Takie proste jej ściany, przecież naj- [wspanialsze,
I nie mają podobnych im świata okręgi;
Tak niewielkie, a przecież widać widnokręgi
Przeszłości i przyszłości i dale najdalsze.

Nie witrażowe blaski i złociste wstęgi
Płomienieją od słońca; ale stokroć stalsze
Malowideł poważnych barwy doskonalsze,
Ale mistrzów ogniste, półboże potęgi.

Tu rozwiały się mury w dawne epopeje
I w prorocze widzenia, a razem się zbiegły
Do kaplicy natchnienia i wskrzeszone dzieje.

Tylko pył padł na cudów tych przestwór [rozległy
To jeszcze ziemia, jeszcze nie niebo jaśnieje,
To refleks nieba spłynął — farbami — na [cegły.

Katakumby.

Idę ze świecą w ręku przez ciemne kruż- [ganki,
Długie, jak ich mieszkańców męczeńskie [tortury,
Głębokie, jak ich wiara. Która płynąc [z góry,
W słońca im zapalała oliwne kaganki.

Idę, jak za procesyą: widzę białe chóry,
Z liliami i palmami dusze chrześcijanki,
Co z wielkim orłem Romy wystąpiły [w szranki.
Do nieba droga przez ten korytarz ponury.

Już odpieczętowano liczne grobów płyty,
Szczątki w srebrze i w złocie wzięto na [ołtarze,
Inne są, jak skarbnice, gdzie skarb jest [ukryty.

Idę, jak przez kopalni wielkiej korytarze:
Prawdziwe tu bogactwo i skarb znakomity,
Bo się serca, jak drogie stają relikwiarze!

Co czytamy?

Są pytania, których zdaje się dlatego nie słyszymy, iż odpowiedzi na nie są niepotrzebne, bo są zawsze jedne i te same.

Gdyby ktoś pytał — co następuje po dniu, albo po wiośnie — uznanoby go za idyotę, który nudzi społeczeństwo kwestyami zanadto dobrze znanemi. Zdaje się, że podobną kwestyą byłoby rzucone pytanie: — Czy inteligencya nasza zajmuje się literaturą? bo każdy z nas usłyszałby zaraz tyle głosów potwierdzających, iż zawstydziłby się swej naiwności objawionej w pytaniu.

U nas — czytają!... Czytają wiele. Rzecz naturalna dzienniki i czasopisma zajmują pierwsze miejsce. Dziennik polityczny musi być w każdym domu, jeśli nie z pierwszej ręki, to jest wprost z administracyi, to przychodzi z ręki drugiej, trzeciej, a czasem nawet dalszej.

„Pisało“ w gazecie — *„Stało w Głosie“* — *„było“* w kronice to — codziennie słyszane obwieszczenia, w które wielka część czytelników wierzy jak w dogmata nie dające się niczem zaprzeczyć.

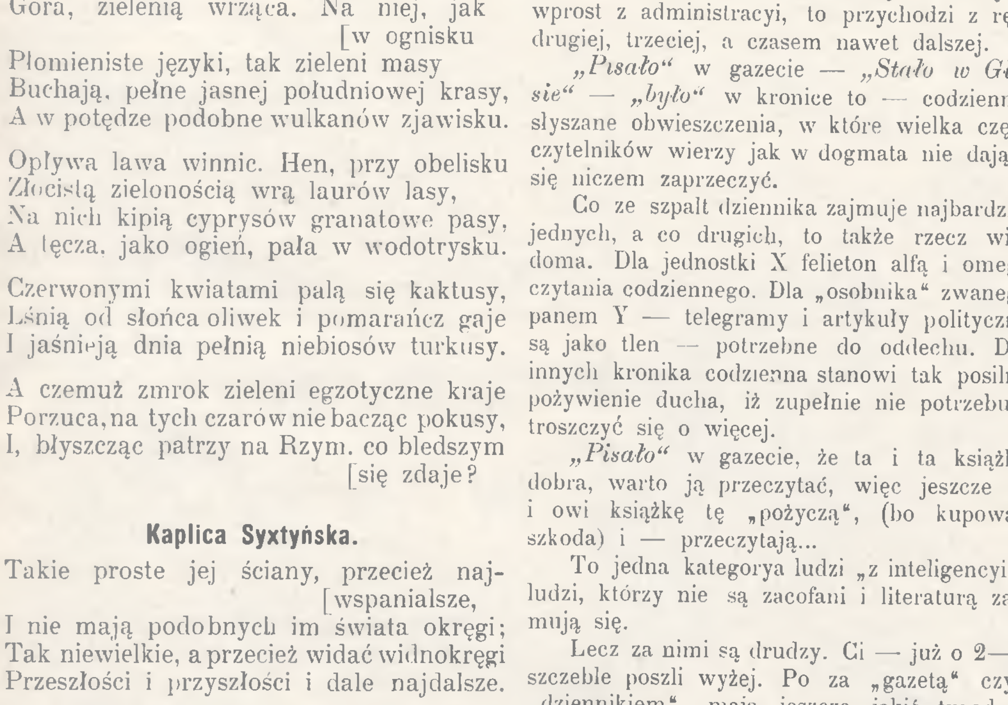
Co ze szpalt dziennika zajmuje najbardziej jednych, a co drugich, to także rzecz wiadoma. Dla jednostki X felieton alfą i omegą czytania codziennego. Dla „osobnika“ zwanego panem Y — telegramy i artykuły polityczne są jako tlen — potrzebne do oddechu. Dla innych kronika codzienna stanowi tak posilne pożywienie ducha, iż zupełnie nie potrzebują troszczyć się o więcej.

„Pisało“ w gazecie, że ta i ta książka dobra, warto ją przeczytać, więc jeszcze ci i owi książkę tę „pożyczą“, (bo kupować szkoda) i — przeczytają...

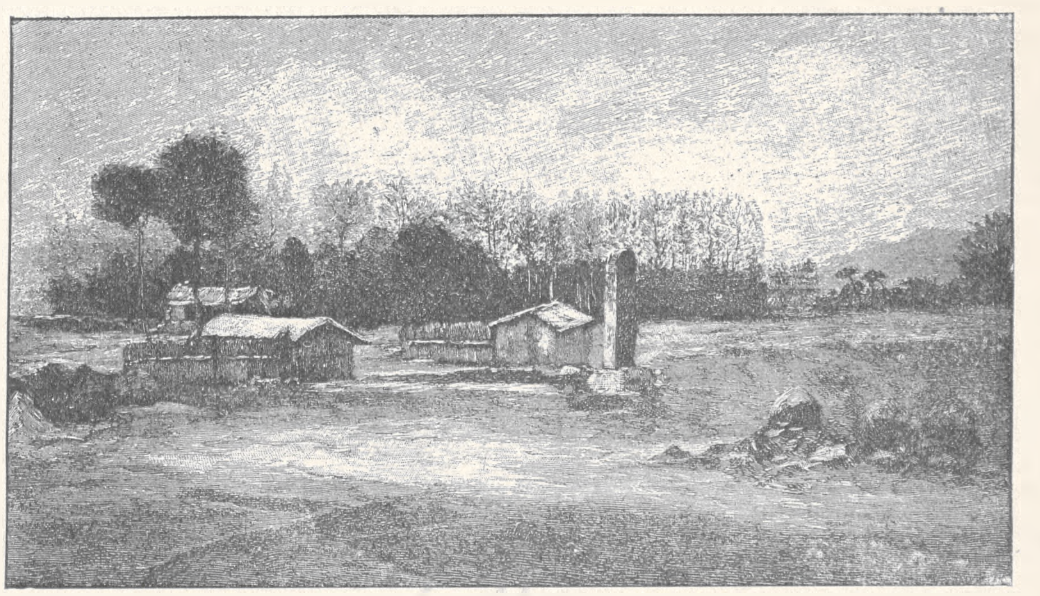
To jedna kategorya ludzi „z inteligencyi“, ludzi, którzy nie są zacofani i literaturą zajmują się.

Lecz za nimi są drudzy. Ci — już o 2—3 szczeble poszli wyżej. Po za „gazetą“ czyli „dziennikiem“, mają jeszcze jakiś tygodnik „literacki“, a kupują przy tem „książki“. Lecz cóż tu stanowi główną treść lektury — jądro czytania i pokarmu ducha? Czyż nie powieść i tylko powieść?... Zawsze, wiecznie się powtarzające jedno i to samo koło zaczarowane, (nie Rydla, nagrodzone na konkursie) ale codzienne, powszechne — gdzie o to idzie najwięcej duszy czerpiącej pokarm z książki, czy Mania wyszła za Artura, lub czy z biedną ożenił się bogaty.

Powieść teraz stała się takim expresem, który z wagonu do dorożki i z dorożki do wagonu przenosi i dźwiga rozmaite pakunki,



Gościniec w okolicy Pekinu zalany przez powódź.



Cmentarz wiejski w Chinach.

kuferki, pudełka, pakuneczki. Każą jej (powieści) nieść tendencyę moralną, więc już biedaczka — aż się przygarbi tak nią przeładowana. Każą jej roznosić modny „dekadentyzm“, to już zrobią z niej dziwoląga, cudaka, od którego niejedni jak od stracha oczy odwracają. Nosi ona na swoich kartkach rozmaite pigułki i pigułeczki „tendencyjne“, które niby mają być połykane tak przez społeczeństwo dla uzdrowienia go, jak się daje dzieciom połykać pigułki gorzkie w słodkiej konfiturze. A wiele jest powieści takich, w których ostatecznie nic a nic się nie znajdzie więcej prócz tylu a tylu kartek, tylu a tylu odbitych liter i — — kilku imion lub nazwisk.

— Bójcie się Boga!... — wołam do jednego z wydawców — czemuż wy takie rzeczy drukujecie? Czy wam nie żal biednego zecera, który musi składać mozolnie litery na to?

— To jedno ma popyt i rozprzeda się. Poważne rzeczy — naukowe, studya — rozprawy, leżą latami, nikt tego nie kupi.

Więc na to — nasuwa się pytanie, na które raczą szanowni czytelnicy odpowiedzieć szczerze.

— Czyja wina?... Czy literatów, iż nie piszą rzeczy poważnych — dotyczących kwestyi życia, ducha, społecznych i estetycznych — czy wydawców i redaktorów, iż nie mają w łamach swoich pism na to miejsca — czy wreszcie „inteligencyi“, która nie woła i nie dopomina się o rzeczy cokolwiek wyższe i głębsze nad kronikę, telegramy, felieton i powieść. Literaci na to rzekną z gorzką determinacyą:

— Musimy pisać tak, aby naszą pracę wydrukowano. Jeżeli nikt nie chce wydawać rzeczy poważnych i naukowych i nader ważnych — trudno byśmy część swego życia wlewali w pracę przeznaczoną dla molów na pokarm.

Redaktorzy i dziennikarze mówią: — Sprawy polityczne, tyle zabierają miejsca, iż nieraz nie umiemy się dość ścieśnić, aby w szpaltach numeru zmieścić materyał aktualny. Musimy dawać to — co nasi czytelnicy lubią.

A z „inteligencyi“ odzywają się panie, panowie, matki, ojcowie: —

— Nieraz człek weźmie gazetę do ręki i szuka w niej czegoś ożywczego, a tu wszystko naokoło nudne, monotonne, zjadliwe...

Czyja wina? — powtarza się znowu pytanie. Przez czytanie — dzieją się wielkie rzeczy w społeczeństwie. Naród się odradza, odżywia, posila, podnosi — uświadamia, wchodzi na lepsze tory — z postępu czerpie kroplę za kroplą...

Ale czytanie to musi być nietylko zdrojem, który gasi pragnienie, lecz i światłem, które daleko swoje promienie rzuca, nietylko tą kruszyną chleba, która karmi, ale i tym głosem, który do posilenia drugich woła.

Byliśmy świadkami, jak jedna z matek szukała w księgarni dzieła z zakresu pedagogii domowej, nie tłómaczonego, ale naszego. Po za dziełem p. Kowerskiej „Wychowanie macierzyńskie“ — nic innego księgarz dać nie mógł.

— Czyż nikt nie pisze rzeczy z dziedziny psychologii — pedagogii i wychowania?...

— Nikt nie wydaje! — odzywa się na to starsza osoba obecna w księgarni.

A księgarz rzuca lakonicznie.

— Nie wydajemy, bo nikt nie czyta...

I cóż? Czyja wina?...

Jeśli społeczeństwo jeszcze nie doszło do tego stopnia rozwoju inteligencyi, iżby już szukało i pragnęło rzeczy pożytecznych i naukowych — to należy powoli, przez podsuwanie artykułów odpowiednich, do takiej lektury naginać.

— Dziennik nie jest szkołą, ani guwernerem, — odzywa się p. redaktor niecierpliwie. — Czego chcecie od nas? Upadamy pod nawałem pracy, a wy jeszcze chcecie, abyśmy poczynali uczyć — czytać — czytać rzeczy, których czytelnicy nie lubią.

— Wie pan co? — mówi pewna mama troskliwa o swoje dzieci. — Chciałabym pokierować Jańcią tak, aby była lepiej przygotowaną do życia niż ja, aby umiała być lepszą żoną niż ja — a nie wiem czem jej myśl rozwijać... nie mamy żadnych dzieł dla kobiet na dobę obecną, dobę, która jest tak ważna i przejściowa, iż istotnie należałoby się z nią liczyć.

Jedno — jedyne pismo, które ma napis „Pismo dla kobiet“ *Bluszcz* — co niesie? 2—3 strony, ogromne strony — powieść. Za tem $1^1/_2$ strony noweli — potem jakieś sprawozdanie z kongresu lub towarzystwa, a wreszcie kronika działalności kobiecej. Wszystko to dobre, ale — to zabawa, a trzeba zamiast pomadek — chleba!... Tygodnik ilustrowany, który ma 20,000 prenumeratorów, co daje rodzinom? Powieść — nowela, opis podróży — poezya — coś z ważniejszego wypadku a — — z pedagogii — psychologii — życia rodzinno-społecznego nic...

Co dają — to społeczeństwo czyta.

Rzecz naturalna, iż nie mogą czytać tych rzeczy, których ani żaden dziennik, ani tygodnik nie umieszcza.

Czyja wina?

Pytanie wszakże nie rozwiązane.

A jesień stoi u progu — lekko o szyby dzwoni kroplami deszczu mrocznego — poczyna rozsnuwać godziny wieczorów długich i do książki woła — zaprasza — zachęca.

Poczniemy czytać wiele — my „nie lud“, ale „inteligencya“ — ale czy nie omylimy się w wyborze?

Nie szukajmy fiołków i róż — gdy potrzeba ziarna i kłosów.

Bogusław.

Oddział Nr. 6.

opowiadanie dla inteligentnej publiczności

Antoniego R. Czechowa.

(Ciąg dalszy.)

V.

Dziwna pogłoska!

Doktór Andrzej Efimycz Ragin, w swoim rodzaju ciekawy człowiek. Opowiadają, że w młodości był bardzo nabożnym i sposobił się na księdza, no, ukończywszy w 1863 roku gimnazyum, chciał wstąpić do akademii duchownej, ale ojciec jego, doktór medycyny, specyalista chirurg ironicznie zaśmiał się z jego projektu, twierdząc, że wyprze się syna, jeżeli ten pójdzie na popa. Ile w tem prawdy — nie wiem. Ale sam Andrzej Efimycz powtarzał niejednokrotnie, że nigdy nie czuł pociągu do medycyny, jak wogóle do wszystkich nauk specyalnych.

Dosyć jednak, że skończywszy medycynę na księdza nie poszedł. Bigoteryi nie okazywał nigdy i jak z początku swojej karyery nie podobnym był na księdza tak i teraz.

Wygląd miał ciężki, chłopski. Swoją twarzą, brodą, szczecinowatemi włosami i niezgrabnem ułożeniem, wyglądał na tęgiego, o niepowściągliwem życiu, karczmarza. Twarz surowa, pokryta sinemi żyłkami, oczy małe, nos czerwony. Przy wysokim wzroście i szerokich plecach, ręce i nogi olbrzymie; wrażenie, że jakby kogo uderzył — już po nim. Ale charakter cichy, chód lekki, ostrożny. Na korytarzu ilekroć spotkał kogo, zatrzymywał się grzecznie, usuwał pierwszy i cienkim, miękkim głosem przepraszał. Na szyi nie wielka narość, która mu nie pozwala nosić krochmalnych kołnierzyków, dlatego więc zawsze ma perkalową lub płócienną miękką koszulkę. Wogóle nie ubiera się po doktorsku. Garnitur każdy służy mu pewnie około

dziesięciu lat, a nowe ubranie kupuje zazwyczaj u żydów, również pogniecione i równie pomięte i zaplamione jak stare. W jednym i tym samym garniturze odwiedza chorych, obiaduje i wizyty składa; ale to nie ze skąpstwa, lecz z zaniedbania swojej powierzchowności.

Kiedy Andrzej Efimycz przyjechał do miasta, żeby objąć posadę, zastał szpital w ogromnym nieporządku. W oddziałach, korytarzach i na podwórzu nie można było oddychać z zaduchu. Posługacze szpitalni wraz z dziećmi swojemi sypiali razem z chorymi. Skarżyli się, że wytrzymać nie mogą od karaluchów, pcheł i myszy. Na chirurgicznym oddziale nieporządki. Na cały szpital były tylko dwa skalpele, ani jednego tamponu, a w wannach trzymano kartofle. Dozorca, dozorczyni i felczer okradali chorych, a przytem opowiadano, że doktór, poprzednik Andrzeja Efimycza, sprzedawał spirytus szpitalny i utworzył z posługaczek i młodych chorych kobiet cały harem na swoje usługi. W mieście wiedziano o tem a nawet przesadzano fakty, ale nie zajmowano się tem głębiej. Jedni tłomaczyli swoją obojętność tem, że w szpitalu leżą tylko chorzy i ubodzy mieszczanie, którymi nie warto się tak bardzo zajmować, wogóle ludzie, którzy w domu żyją znacznie gorzej. Drudzy utrzymywali, tłomacząc się, że samo miasto, bez pomocy ziemiaństwa nie może wystarczyć na dobry szpital; dzięki Bogu, że choć taki jest. A obywatele okoliczni nie zajmowali się także nim, oglądając się na to, że w mieście egzystuje już szpital, a właściwie brudny budynek szpitalny.

Obejrzawszy go uważnie Andrzej Efimycz doszedł do przekonania, że właściwie jest on w najwyższym stopniu szkodliwym dla zdrowia mieszkańców. W jego pojęciu najmędrszą rzeczą było zamknąć go, a chorych wypuścić do domów. Ale wiedział, że na spełnienie tego, za mało jego sądu i władzy i że ten projekt niemożebnością w wykonaniu się staje; jeżeli bowiem fizyczny i moralny brud wyrzucić z jednego miejsca, nie zniszczywszy go, to on znajdzie się w drugiem. Trzeba czekać dopóki sam się nie ulotni. A zresztą, jeżeli ludzie postawili taki szpital i znoszą go, widocznie im jest potrzebny. Tak jak wszystkie ludzkie nierozsądki, wszystkie obrzydliwości i odpadki widocznie potrzebne, gdyż z przeciągiem czasu zmieniają się w coś zupełnie innego, jak n. p.: nawóz na urodzajną glebę. Niema nic na ziemi takiego, coby w swojem powstaniu nie było wstrętnem.

Objąwszy miejsce Andrzej Efimycz oburzał się na wielkie nieporządki, ale swoim zwyczajem delikatnie poprosił o usunięcie ich. Delikatnie poprosił, aby posługacze i dozorczynie nie sypiali z chorymi, sprowadził dwie szafy instrumentów, ale dozorczyni, felczer i reszta służby pozostała na swoich miejscach.

Andrzej Efimycz ogromnie cenił rozum i charakter, ale nie potrafił w około siebie stworzyć możliwego otoczenia; brakło mu do tego siły i wiary w swoją inteligencję. Rozkazywać, zabraniać, ciągle powtarzać, doprawdy nie umiał. Robił wrażenie człowieka, który sobie poprzysiągł nigdy nie podnosić głosu i nigdy nikogo do niczego nie zmuszać. Nie potrafił powiedzieć „daj“ albo „przynieś“. Jeżeli głodny to delikatnie chrząka i mówi do służącej: „może by herbaty“... albo „może by obiad“... powiedzieć dozorcy żeby nie kradł, albo oddalić go, albo samemu ustąpić z zajęcia, on nie miał siły. Kiedy oszukują go, albo pochlebiają niezręcznie, albo proszą o podpisanie rachunku, o którym jest przekonany, że fałszywy, to się czerwieni jak rak i czuje się winnym, ale rachunek podpisuje; jeżeli chorzy skarżą się na głód albo na grubjaństwo służby, on miesza się i delikatnie zapewnia: „dobrze, dobrze, ja zajmę się tem... widocznie jakieś nieporozumienie“....

Tłom. Bronisława Jeremi.

C. d. n.

Wojna lub rozbrojenie — konieczność socyalna.

Ciąg dalszy.

W przyszłej wojnie wodzom szczególnie na tem zależeć będzie, by zdobyć pozycye oszańcowane. Każda ze stron wojujących szukać przedewszystkiem będzie schronienia przed gradem kul, pole bitwy pokryte będzie nasypami, jakby kretowinami a stosy poległych będą tworzyły także wał ochronny dla żołnierzy... Siła nieprzyjaciół pozostanie zawsze mniej więcej równa, gdyż żaden z nich nie będzie miał odwagi zaraz na początku zdecydować się na rozstrzygającą bitwę...

Profesor Nigotte jest zdania, że przyszła walna bitwa trwać będzie zaledwie 3 lub 4 dni a co najwięcej 15 dni i żaden z przeciwników nie odniesie rozstrzygającego zwycięstwa, osłabią się tylko może aż do wycieńczenia, lecz nie ulegnie żaden.

Stosunek sił wojennych w państwach Europy przedstawia się obecnie jak następuje:

Niemcy	2,550.000	
Austro-Węgry	1,304.000	
Włochy	1.281.000	
Trójprzymierze razem	5,135.000	ludzi
Francya	2,554.000	
Rosya	2,800.000	
Dwuprzymierze razem	5,354.000	ludzi

Z tego zestawienia widzimy, że nie o wiele siły przeciwników różnią się.

Uzbrojenie tych armij pochłonęło miliardy z majątku narodów, a niestety nie ma nawet nadziei, by kiedy się to skończyło, by te setki milionów i miliardów mogły być użyte na inne cele... na podniesienie dobrobytu całej rzeszy przymierających z głodu i chłodu...

Nieprzyjaciel, chcący zyskać korzystniejszą pozycyę, będzie musiał natychmiast po wypowiedzeniu wojny rzucić swe siły do kraju przeciwnika i zgromadzić jak najwięcej ludzi tuż pod bokiem jego. Armia jego będzie musiała wykonywać gwałtowne marsze i dlatego to już teraz wymagają od żołnierza niezwykłej wytrwałości i nadludzkich prawie wysiłków. Rezerwiści, nie przyzwyczajeni do forsownych marszów, będą po drodze padać tysiącami. Lekarze francuscy twierdzą, że już w pierwszych dwóch tygodniach oprócz rannych, będzie jakie 100.000 chorych z wycieńczenia, którzy zalegną wszystkie szpitale i kwatery... A gdzie umieścić zdrowych w nocy lub w czasie niepogody? Skąd wziąć dla milionów zgromadzonych na niewielkiej przestrzeni żywność? Który wódz będzie umiał kierować podczas wojny milionami, gdy w czasie pokoju nie mogą dać sobie rady z tysiącami a nawet setkami? Jak będzie wyglądało to wymagane ślepe posłuszeństwo żołnierzy powołanych z większych miast i do niewygód nieprzywykłych? Kto zdoła podtrzymać ducha w armii? Czy ten wódz, który nawet nie rozumie języka swoich żołnierzy? nie zna jego ideałów, pragnień, ambicyj i marzeń — czy ten potrafi go porwać i zapalić?

Mógł Napoleon pod Piramidami porwać swoich żołnierzy słowy: „Oczy całego świata zwrócone są na Francyę i jej żołnierzy“ i mógł być pewnym, że poszliby za nim nawet na kraj świata; ale dzisiaj nawet ten Napoleon-geniusz nie byłby zrozumiałym dla Rosyan a Moltke dla Węgrów lub Czechów!

Ten ostatni wyrzekł nawet pamiętne słowa: „Przypuściwszy, że niepowtórzy się ani 100-letnia, ani 30-letnia, ani 7 letnia wojna, nie ulega wątpliwości, że skoro miliony ludzi zaczną walkę o swoje narodowe ideały — wojna nie skończy się na kilku odniesionych zwycięstwach“. A czy narody dzisiejszych czasów, podburzane przez anarchistów, socyalistów i innych malkontentów, nadto uginające się pod ciężarem ogólnej socyalnej nędzy, będą mogły ponosić koszta i ciężary tego rodzaju wojny?!

Żaden język ludzki nie zdoła przedstawić całej zgrozy przyszłej wojny lądowej, a cóż dopiero mówić o morskiej. Kolosy z żelaza i stali, przebiegające po morzu, gotowe zawsze na dany rozkaz zniszczyć do szczętu miasta położone nad brzegiem, zbudowane kosztem sum bajońskich, za jednem uderzeniem torpedy idą pod wodę, zaprzepaszczając pracę milionów rąk. Dawniej budowano żaglowiec wojenny za 3 do 4 miliony franków, dziś na najnowszy okręt pancerny „Magenta“ wydano 21 milionów franków. A jakie machiny mordercze niosą te okręty!... Żaglowiec wojenny I. klasy był uzbrojony dawniej 120 armatami, które razem ważyły 480 ton, największy dawny pancernik miał 32 armat o wadze 690 ton, na panceniku zaś wojennym zbudowanym w roku 1880 umieszczono tylko 4 armaty większe i 8 mniejszych, ale te ważyły 1150 ton, czyli że ciężar armaty był 150 razy większy. Odpowiednio skonstruowano i naboje, napełniono je materyą eksplodującą o niezwykle wielkiej sile. Naboje na panceniku „Italia“ mają 43 ctm. średnicy i ważą 907 klg. W przeciągu lat dwudziestu zwiększono siłę nabojów eksplodujących 30 razy, i to wskutek samego tylko powiększania. Obecnie zamierzają w Anglii budować armaty ważące 200 ton, a kula do takiej armaty ma ważyć 3000 kilogramów. Ta kula ma z odległości 19 kilometrów przebijać pancerz o 90 ctm. grubości. Jedna taka armata będzie kosztować 412.000 franków a jeden do niej nabój 4160 franków, po oddaniu zaś 93 strzałów stanie się całkiem nie do użycia. Jeżeli tylko jeden nabój z tej armaty padnie na okręt jakiś, to rozerwie go na kawałki, lub co najmniej uczyni go niezdolnym do dalszej walki.

Biada społeczeństwu, jeżeli na tej drodze dalej postępować będzie.

W ostatnich czasach zmieniono taktykę i zamiast żelaznych kolosalnych „Krzyżowców“, zaczęto budować małe o wielkiej chyżości okręty, które uzbrajają armatami szybkostrzałowemi. Równocześnie udoskonalono torpedowce i rozpoczęto próbę okrętami pływającymi pod wodą. Skuteczność ich wypróbowano w ostatniej wojnie Amerykańsko-hiszpańskiej. Skoro taki podwodny torpedowiec zdoła zbliżyć się na 400 metrów do pancernika, rzuca podeń minę, która cały kolos rozdziera w kawałki i wszystko ginie w nurtach morskiej głębi. Admirał niemiecki Werner był zdania, że skoro tylko zmniejszy się koszt produkcyi metalu „aluminium“, natenczas z tego metalu będzie można budować tak silne pancerniki, że im nie zaszkodzi żaden torpedowiec, wówczas zacznie się znowu wysilać mózg ludzi na wybudowanie torpedowców o jeszcze większej sile wybuchowej. Ludzkość — rzecz dziwna — sili się na wynajdywanie środków wzajemnie się niszczących.

C. d. n.



—Klodwik ks. Hohenlohe-Schillingsfürst, były kanclerz niemiecki.

Fortepian czy żona?

Humoreska.

Napisał **Konstanty Krumłowski.**

ROZDZIAŁ I.

Znacie pana Klawiszewskiego? To nasze słońce na horyzoncie muzycznym, tę pochodnię rozświetlającą ciemności harmonii i kontrapunktu?

Popatrzcie na niego!...

Rozwichrzona czupryna, zadarty nosek z wiecznie zlatującem pince-nez, krogulczo pokrzywione paznokcie, pod pachą zwój nót, a w prawice cieniutka laseczka, którą ciągle wymachuje jak batutą, spiesząc się z lekcyi na lekcyę, z piętra na piętro, z ulicy w ulicę do swych elewów...

Jednak p. Klawiszewski nie od razu był słońcem, nie od razu jasno płonącą pochodnią.

Znałem go jeszcze za czasów, w których co najwyżej, w najśmielszych i najdalej idących porównaniach nazwać go było można „gwiazdką“, małą gwiazdką, nikłym, kopcącym (nie w złem słowa znaczeniu) — kagankiem!...

Klawiszewski miewał w młodym wieku awanturki — ja zaś jestem jego przyjacielem i powiernikiem, rodzajem męzkiej „duenny“.

Mój przyjaciel muzyk miał jedno pragnienie, jedno z tego rodzaju, jak pragnienie prawowiernego muzułmanina oglądania trumny Proroka, podlotka — jazdy koleją, redaktora — pozyskania gratisowych współpracowników...

Mój przyjaciel pożądał namiętnie (proszę się nie gorszyć) Klawiszewski wrzał żądzą posiadania — fortepianu. Własnego, z nieograniczonem prawem użytkowania i rozporządzania — fortepianu.

Niestety! od chęci do czynu daleko!

Na zakupienie nowego instrumentu nie miał, na zakupienie starego także nie miał — na kredyt nie dostał — pożyczki potrzebnej do kupna także nie dostał...

ROZDZIAŁ II.

Pewnego dnia wpada do mego mieszkania „Klawcio“ — jak w poufałem kółku go zwano.

Nie zdejmując kapelusza z głowy rzuca w jeden kąt cienką laseczkę, w drugi nuty i impetycznie daje susa w moim kierunku z rozstawionemi rękami, jakby w zamiarze zduszenia mej nic nie znaczącej, a jednak dla mnie tak cennej osoby!

Zwaryował!... Mój biedny przyjaciel zwaryował — wpadła mi myśl jak grom do głowy... Zastawiam się stołkiem... Muzyk daje drugiego susa — chwila — wydziera mi stołek i odrzuca na bok — druga chwila: już mnie ma!...

— O-o!... — jęknąłem duszony w kościstych uściskach szaleńca — Alfonsie! Klawciu! upamiętania!...

Poskutkowało.

Nadgniótłszy mi piąte żebro z prawej strony cisnął mną z kolei jak poprzednio stołkiem ku oknu i patrząc na mnie wzrokiem, od którego mi szpik w kościach zamarzał — syknął:

— Cieszmy się!... kupuję fortepian!

Nie będąc jeszcze zupełnie przekonanym o poczytalności mego przyjaciela i rozcierając krzyże i miejsca przyległe, pełniącem na oknie uszkodzone nieco — bąkam wpatrzony niespokojnie we wzrok przyjaciela:

— Ach! fortepian?... Tak?... o! cieszę się! co mówisz? fortepian? prawdziwy fortepian?

— Już go mam tu! tu! — wrzasnął, uderzywszy się po trzykroć w kieszeń.

Obawy moje przybierają wszelkie cechy prawdopodobieństwa.

— Gdzie?! — krzyknąłem z determinacyą.

— Garbarska 14 — zacytował jednym tchem mój muzyk — piętra nie pamiętam, tanio do nabycia, jeszcze w dobrym stanie... Bądź zdrów! Lecę, targuję, odnoszę, mam!...

Poskoczył w lansadach ku drzwiom podniósłszy w biegu ze zwinnością małpy lub skoczka nuty i laskę ze ziemi — i znikł...

ROZDZIAŁ III.

Ulica Garbarska L. 14...

Pan oficyał przy obiedzie z rodziną. Pan oficyał jada systematycznie o pierwszej.

Pani oficyałowa zna systematyczność męża — panna oficyałówna — ojca.

Państwo oficyałowie mają trzy pokoje, z których jeden jest zwany „salonikiem“ — dla tej doniosłej okoliczności, iż między dwoma oknami znalazł w nim pomieszczenie — fortepian.

Godzina 1 minut 12 — sztuka mięsa.

Godzina 1 minut 15 — dzwonek i gwałtowne szarpnięcie drzwiami od przedpokoju.

— Goście! — krzyknęła panna oficyałówna i spłonęła wielce znaczącym rumieńcem.

— Goście! Teciu! — szepnęła matka do córki z wiele mówiącem spojrzeniem.

— Gooo... — podjął systematyczny p. oficyał, ale nie miał czasu skończyć.

Wpada młodzieniec z rozwichrzoną czupryną, zadartym noskiem, z którego właśnie spadło pincenez, z krogulczo zakrzywionymi paznokciami, dzierżąc pod pachą swój nót, a w prawej cieniutką laseczkę, którą wymachuje jak batutą i pyta:

— Fortepian tu?

A widząc przedmiot swych namiętności przez otwarte drzwi saloniku wpada tam jak bomba, zamyka drzwi do jadalni i znika.

— To on! — wydała lekki okrzyk panna oficyałówna.

Pan oficyał, jak wiadomo, jest wielkim systematykiem, a wielkiej tej zalety nabył pracując od 20-tu przy t. s. c. k. Registraturze.

Podczas więc, gdy matka i córka zamieniały pytające spojrzenia zmięszane i zdziwione tą nagłą intromisyą — p. oficyał dokończył z uznania godną systematycznością sztuki mięsa, odłożył na prawą stronę nóż, a na lewą widelec i poprawiwszy okularów rzekł głosem inkwizytora:

— Wymagam wyjaśnień!

Ale zamiast żądanych wyjaśnień zabrzmiał z saloniku taki chaos zmięszanych tonów, akordów i pasażów, wybębnianych z taką furyą, że p. oficyał zapomniawszy na chwilę o systematyczności zerwał się z krzesła i zawołał:

— Ten waryat rozbije mi fortepian! — i poskoczył ku salonikowi w widocznie nieprzyjaznych intencyach dla młodego wirtuoza.

Tatku! — jęknęła błagalnie panna Tecia chwyciwszy ojca za rękaw szlafroka

Mężu! nie wypada! — zaoponowała jejmość, zagrodziwszy poważną swą peryferyą drzwi saloniku.

Pan oficyał miał czas wrócić do równowagi, jak niemniej miejsca poprzednio zajmowanego przy stole.

Salonik tymczasem brzmiał „dziką orgią rozpasanych tonów“ — wyrażając się stylem naszych dekadentów.

To jednak nie przeszkadzało p. oficyałowej zbliżyć się z krzesłem na poufałą odległość ku mężowi, położyć pulchną, kilkufuntową łapkę na kościstem jego ramieniu i głosem najsłodszym przemówić.

— Tytusie!.. Ten młody człowiek —

— Waryat! — mruknął oficyał.

— To nic jeszcze — pochwyciła skwapliwie małżonka.

— Kocha — dorzuciła wstydliwie panna Tecia, spłonąwszy jak sucha zapałka.

— Gdzie? co? kogo? — żachnął się oficyał — mówcież na miły Bóg systematycznie!

— Teciu! wyjdź! — rzuciła matka lotne słowo skinąwszy głową w stronę córki.

Dziewczę znikło w czeluściach ciemnej kuchenki.

— Tytusie! — podjęła na nowo pani domu — Tytusie! twoja córka dostała dziś rano...

— Co dostała? spazmów, migreny?.. mów!.. zawołał oficyał wykraczając po raz trzeci przeciw zasadom systematyczności, a to tytułem troskliwości ojcowskiej — co dostała?...

— List miłosny — odparła matka — o! nie mów nic! słyszysz? list! bez podpisu — ten list i ten młody nieznajomy, o! to ma jakiś związek... Ty rozumiesz serce matki posiadającą 25-letnią córkę — pojmujesz? Idź! mów!.. pobłogosław im!

Pan oficyał zoryentował się, poprawił na sobie szlafrok, spojrzał głęboko w oczy żony i rzekł głosem wzruszonym:

— Idę!

ROZDZIAŁ IV.

W chwili gdy w drzwiach salonu ukazał się oficyał, Klawiszewski skończył właśnie sonatę x-mol i wieszcze ręce spuścił na kolana.

— Panie! — zaczął uroczystym głosem gospodarz — wiadomym mi cel pańskich odwiedzin — o! ze mną możesz być szczerym, mów jak przed ojcem — Moja córka..,

— O! o! — przerwał niespokojnie muzyk — to i córeczka chce współdziałać w tym interesie?

— Tak! — odparł zdziwiony nieco urzędnik — mimo młodych lat nie może być nieczułą w podobnej kwestyi.



Karol Marcin hr. Bülow, obecny kanclerz Niemiec. Następca ks. Hohenlohego.

— Tylko się znów państwo bardzo nie drożcie, bo nie ma z czem ostatecznie... Pan wiesz sam najlepiej ile to może wartać.

— Panie! chuchałem na to, strzegłem, stroiłem... — zapewniał ze łzami w oczach pan oficyał.

— Ach! rozumiem teraz! pan sam stroiłeś? — bąknął muzyk tonem lekceważenia.

— Nie sam panie dobrodzieju, nie sam — rozumiem przez to, że łożyłem koszta i to znaczne koszta na strojenia. Rzeczą samą zajmowała się matka.

— Jaka matka?

— To jest moja żona.

— Pańska żona jest matką?

— Matką mojej córki... Nie mam powodu najmniejszego w to wątpić, bo czy pan wiesz, że nigdy, nigdy nie podejrzywałem jej wierności... Przedstawię pana mojej żonie...

— Więc i pani dobrodziejka jest w tem interesowaną? — tonem zdziwienia lecz i zniecierpliwienia zauważył muzyk. — Dziękuję, możemy we dwójkę przecież targu dobić, bylebyś pan trudnych warunków nie stawiał.

— Panie! pan pojmujesz obawy starego urzędnika i ojca jedynej córki — rozpoczął na nowo z tonu lirycznego i z widocznem wzruszeniem p. oficyał — Wybacz więc pytanie: masz-że dostateczne środki na przyzwoite utrzymanie tego naszego jedynego dobra na świecie? Będziemy u pana częstymi gośćmi, aby popatrzeć, pobłogosławić...

— Ależ pan przeceniasz wartość tego starego grata — rzucił niecierpliwie Klawiszewski — na co odwiedziny, błogosławieństwa dla takiej bagatelki?

— Co? co? stary grat? bagatelka? Co pan sobie myślisz? jak śmiesz mi w moim własnym domu podobną obelgę w twarz rzucać?

— Panie! nie rób się pan śmiesznym — odciął popędliwie artysta. — To ma być obelga?

Więc cóż? — podjął oficyał wzburzony — chciałeś mnie pan może odrazu wypoliczkować?

Klawiszewski nie zdobył się już na odpowiedź; wybuchnął śmiechem niepohamowanym, a zarazem tak naturalnym, że biedny oficyał nie wiedział czy ma z waryatem do czynienia, czy sam jakie głupstwo palnął.

— Oj panie! ta stara rozbita maszyna cha! cha! cha! — ryczał Klawiszewski nieustającym śmiechem — z krzywemi nogami, deka bez oddźwięku — huknij pan tylko porządnie w nią pięścią — a rozleci się w kawałki — a co to za tony! jak u dychawicznej szkapy! I on to jedynym skarbem nazywa!... Ooo!...

Tu już przebrała się miara cierpliwości gospodarza,

Przybrawszy urzędowy wyraz twarzy odstąpił kilka kroków od zaśmiewającego się młodego człowieka i z całą systematycznością wskazujący palec prawej ręki skierował ku drzwiom, podczas gdy lewicą poprawiał okulary na nosie.

— O! nie! nie! — zawołał młodzieniec zrozumiawszy snać ów ruch, a wybuchając ponownym śmiechem — powiedz pan jeszcze co, ja tak lubię jak pan mówi!

— Powiedzieć jeszcze co? — przedrzeźniał ze złością oficyał — więc powiem panu, że registratura w głowie nie jest u pana w porządku. Każdy fascykuł powinien mieć swoją kompaturkę... Moja córka. —

— Posiada zapewne tę niezbędną zaletę porządnego fascykułu — zaryczał jeszcze donośniej muzyk

— Ależ u djaska! co mi pan zawracasz głowę pańską córką i kompaturkami?

— A co mi tu pan bredzisz o rozbitej maszynie? Są to aluzye co najmniej niesmaczne. Dość mi już tego!.., A ten list, ten list ranniejszy?... ha! zdrajco, chciałeś ukraść córkę oficyała c. k. sądowej registratury!?

Teraz zdumienie odbiło się na twarzy gościa.

— List do córki registratury? Panie! to mistyfikacya!

— Rozmówmy się krótko — przerwał nieubłagany interlokutor — Z jakimi zamiarami wszedłeś, bezwstydny napastniku, w uczciwą bramę tego domu?

— Z jakimi zamiarami, chytry starcze, wywiesiłeś na twojej uczciwej bramie kartę o sprzedaży fortepianu? — brzmiała groźna odpowiedź.

Z kolei zdumiał się gospodarz

— Fortepian? — powiadasz pan?

— *Fortepianu*, mówię wyraźnie, alias tego starego klekotu co stoi przedemną, a którego się pan nachwalić nie możesz!... Ale nie mnie brać na ptaszki! Oświadczam panu kategorycznie że *fortepianu nie kupię*! — podał do wiadomości osłupiałego gospodarza.

— Ależ panie! podjął zmieszany — ja myślałem nie tego, ja mówiłem o...

— No! no! o czemże pan myślałeś! to będzie ciekawe usłyszeć!

— O mojej córce — jak Boga kocham o córce — uniewinniał się — ale gdy pan żony nie potrzebujesz tylko fortepianu, to tam. tam nad nami na I piętrze jest fortepian do nabycia.

— A! saperlot! zaklął półgłosem muzyk — przeklęte roztargnienie. Pomyliłem się o całe piętro!... Byłbym ładnie wdepnął! Przepraszam, przepraszam najmocniej.

I pozbierawszy z krzeseł cylinder, laseczkę i nuty, w tysiącznych ukłonach sunął ku drzwiom. Będąc już w sieni słyszał w pokoju tubalny głos oficyała:

— To nie on! nie on!

— Tatku! — zapiszczał cienki dyskant

— Tytusie! rzucił ktoś rozpaczliwy okrzyk.

ROZDZIAŁ V.

Klawiszewski fortepianu dotychczas nie kupił.

Z pogadanek o teatrze.

Otchłań dramat w 4 aktach T. Konczyńskiego wystawiony po raz pierwszy w teatrze krakowskim dnia 20. października 1900.

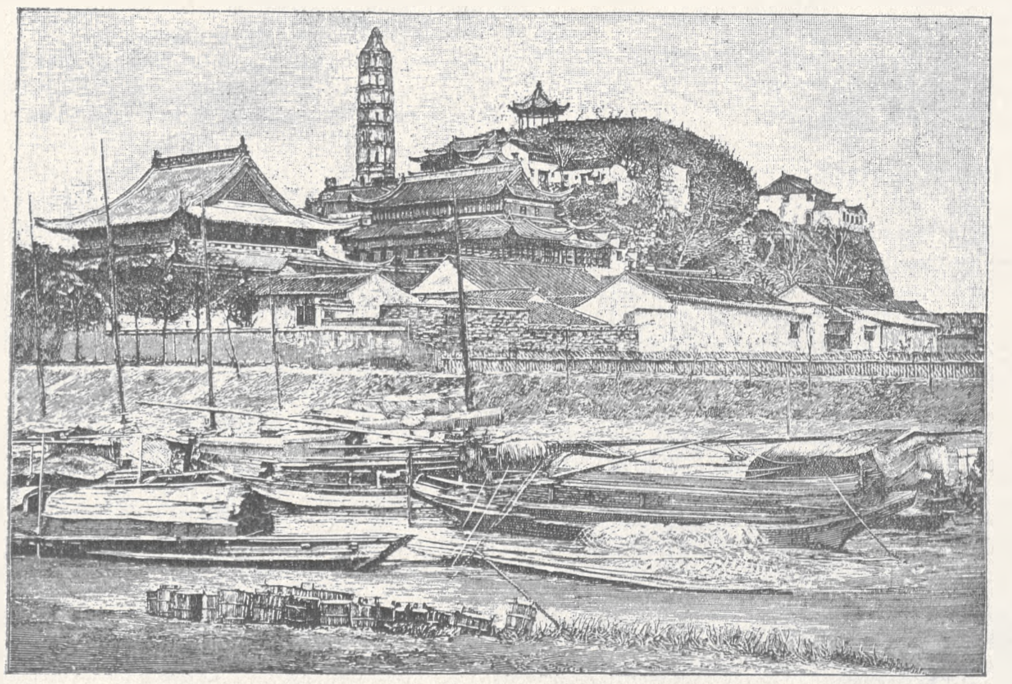
Poprzedni numer „Głosu literackiego“ nie miał sprawozdania teatralnego. Zawinił sam autor poprzedniej premiery p. Mirorski, który napisał coś takiego pod tytułem „Zamęt“, że nie podobna było tej rzeczy traktować poważnie. To też z obowiązku naszego daliśmy obszerne mniejsze sprawozdaniu z tej sztuki w „Głosie Narodu“ ale w rubryce „Humor“. Nie chcieliśmy się wdawać w poważną ocenę tej ramoty, jaką był „Zamęt“, rozpisywać się wzorem niektórych recenzentów o „plastyce figur“, „perspektywie“, „okrągłościach ruchów“, o „stylu“ i „psychologicznej kanwie“ bo z tego bukietu musiałby w końcu wyleść ostry koniec w stronę dyrekcyi, no i reżyseryi teatru krakowskiego, które dla pięknych (naprawdę pięknych) oczu autora p. Mirorskiego pozwoliły sobie takiego drastycznego lekceważenia idei narodowej sztuki i publiczności. A więc pożegnajmy raz na zawsze „Zamęt“ i prośmy bogów już nie o to, aby nie opętywały bankierów manią pisania dramatów, ale aby strzegły zdrowych poglądów dyrektorów polskich teatrów i komisyj artystycznych. Na tle posępnych wrażeń z „Zamętu“ tem jaśniej i milej zarysowała się „Otchłań“, rzecz napisana po literacku, mająca, jak to mówią, głowę i nogi; nogi za długie trochę, głowa za mała, ale do życia to zdolne, wiec sympatyczne.

Rzecz osnuta na ideach, którémi żyje nasze społeczeństwo w ostatnich latach: na kłamstwie i oszustwach bankowych. Przed laty pisano takie sztuki jak: „Kościuszko pod Racławicami“, „Emigracya chłopska“, „Ofiary z r. 1863“, dziś piszą się „Zamęty“, „Zgaszeni“ i „Otchłanie“... Nie dziw, z ducha czasu, z idei, któremi społeczeństwo się przejmuje, lub w jałowości ducha się zajmuje jako skandalem, czerpią także swoją duchową strawę literaci i artyści. Nie wszyscy, dzięki Bogu, szkoda jednak, że kilku, że dwóch, że jeden. W takich smutnych czasach sztuka tworząca, zwłaszcza literatura dramatyczna, ma zadanie odwracać myśli w inną stronę, wskazywać idee jasne, drogi promienne, choćby nawet rozrywać skołatane umysły i pokrzepiać je, dodając otuchy na jutro...

„Pięknie się to mówi, powie mi niejeden literat noszący w „Ionie“ nowy pomysł do nowego „bankowego“ dramatu. — Któż jednak jest panem własnego natchnienia? Pomysł do napisania sztuki, niechno się tylko raz wśliznie w komórki mózgowe, już go stamtąd nie wyrzucą żadne refleksye na temat względów społeczno-narodowych“...

Być może, nie mniej jednak zdaje mi się, że ja także mam racyę zwłaszcza, gdy nie wiem czy pan Konczyński, gdyby zaczął od czego innego niż od „Otchłani“, miałby równie szczęśliwą jak „na pierwszy raz“ rękę.

Treść „Otchłani“ patrzy z afisza. Urzędnicy bankowi, profesor uniwersytetu, notaryusz, przedsiębiorca, inżynier, prezydent miasta, aż dwóch adwokatów i... prokurator!... Wątpić nie wolno ani chwili, że idzie o oszustwa bankowe na wielką skalę. Otchłani wprawdzie nie ma jeszcze w tej „Otchłani“ i jakoś w końcu ludzie bocznemi drogami wydrapują się na wierzch z niebezpiecznych pochyłości; w każdym razie jest ponura, ciemna piwnica, która w dodatku grozi zawaleniem.



Chińska dzielnica w Szanghaju.

Inżynier Podosocki (Kamiński) opanował bank, korzystając z lekkomyślności młodego Hanusza (Sosnowski), który z rąk ojca swego Henryka odebrał wprawdzie instytucyę w kwitnącym stanie, ale, opętany namiętnością ku pani notaryuszowej (Sulima), zamiłowany w kartach i nocnem życiu, nie miał ani siły, ani zdolności do pracy, jako dyrektor banku.

Podosocki, mając przy sobie powolne narzędzie swioch planów, Woronka (Popławski) — gospodaruje w banku jak chce, dążąc zwolna i systematycznie, bez wszelkiego względu na ofiary, które paść muszą na jego drodze, do wysunięcia młodego Hanusza i objęcia banku we własne ręce. Pod względem psychologicznym jest to wszystko w Podosockim nie dość zrozumiałe; autor nie zaznaczył wyraźnie pobudki działań tego człowieka. Czy to ambicya, chciwość, czy może popęd czynienia złego dla złego?... Ten brak co do psychologicznego umotywowania postaci Podosockiego daje się uczuwać przez całą sztukę, ze szkodą dla niej samej, bo wskutek tego Podosocki, jak to mówią... wisi w powietrzu. Możliwem jest jednak, że tę niejasność spowodowała gra p. Kamińskiego powściągliwa w początkowych aktach, do niemożliwości.

Podosockiemu wszystko się na razie udaje: robi transakcye, jakie chce i jak chce, młodemu Hanuszowi podsuwa ciągle piękną panią Barowską a w wolnych chwilach ogrywa na tysiące, licząc na pewne, że młody Hanusz albo z kochanką ucieknie, albo w łeb sobie strzeli; przy pomocy guwernantki Louisy (Jeremi) podsuwa naiwnej pannie Maryni Kalickiej (Morska) lekturę francuską z takimi obrazkami, które rozniecą w dziewczynie pożądania i rzucą mu ją w objęcia (ciekawy środek, flegmatyczny w każdym razie) i t. d. Jest jednak człowiek, który mu stoi na drodze: jego teść stary Hanusz (Zawadzki), natura silna, uczciwa... Podosocki czuje w nim wroga, chce go się pozbyć, usunąć z banku. W tym celu przy pomocy funduszów bankowych doprowadza do skutku wybór Hanusza na prezydenta miasta. Ale przewidujący i czysty umysł starego Hanusza w czas odkrywa wszystkie machinacye Podosockiego; zarządza niespodziewanie skontrum w banku i odkrywa defraudacyę. Podosocki musi podpisać przyznanie się do winy i wyjechać za granicę, instytucya uratowana — żona Podosockiego (Ordon) nieszczęśliwa, zawiedziona w swych nadziejach kobieta, wraca z córeczką do ojca (starego Hanusza), młody Hanusz ucieka z panią Barowską, panna Marynia „uratowana“ robi „dobrą partyę“, bo idzie za mąż za profesora uniwersytetu. W „Otchłani“ święci tryumf prawość, szczerość, poświęcenie nad nikczemnością, przewrotnością i kłamstwem. Sztuka ma zatem nastrój szlachetny; z ponurnego tła wystrzela jasny promień, który w duszy widza i słuchacza budzi uczucie moralnego zadośćuczynienia. Stary Hanusz jest nerwem sztuki, osią niewzruszoną, około której kręcą się ludzie i wypadki. Postaci tej należy powinszować autorowi. Toż samo, oryginalnym i konsekwentnie przeprowadzonym typem jest Woronek. Podosocki, jak już wspomniałem ma wiele usterek; przy tem nie jest postacią nową nawet w ostatniej scenie czwartego aktu. Wadą sztuki jest rozwlekłość ekspozycyi (trwa przez całe dwa pierwsze akty), słaba akcya, „papierowość“ figur drugo i trzeciorzędnych — zaletą, literacki język, wiele sceniczności i dramatyczny nastrój w ostatnich scenach aktu trzeciego i czwartego. Autor ma talent i powinien dalej pisać dla sceny.

Artyści grali poprawnie. Nad wszystkimi górował p. Zawadzki; obok niego p. Popławski ze znakomitą charakterystyką Woronka, przeprowadzoną bardzo konsekwentnie i p. Kamiński ze swoją wytworną, spokojną grą, wstrzemięźliwą wprawdzie aż do zatarcia wyrazistości postaci Podosockiego, ale za to potężną w ostatniej scenie aktu czwartego. Pan Sosnowski jako młody Hanusz był doskonałym; sumienność tego artysty przy jego prawdziwej inteligencyi daje mu w każdej roli sposobność do zaznaczenia swojego „ja“. Pani Morska sumiennie grała naiwną Marynię, pna Ordonówna poprawnie Podosocką, Sulima Barowską słabo, bez wyzyskania doskonałych momentów tej niedużej, lecz wdzięcznej roli. Wśród postaci epizodycznych wyróżniał się p. Zelwerowicz, który małą rólkę prokuratora zagrał wprost doskonale.

Publiczność słuchała sztuki z wielkiem zajęciem.

Dr. Włodzimierz Lewicki.

Pogromca błyskawicy.

Już to musi się przyznać, że *curriculum vitae* Edisona należy do równie świetnych jak nieprzewidzialnych i nieprzewidzianych zjawisk iście amerykańskiej natury. W 1869 był on jeszcze młodym, nieznanym telegrafistą, błąkającym się bez grosza w kieszeni po ulicach Nowego Yorku, w dziesięć lat później zajmuje pierwszorzędne stanowisko między wynalazcami, posiada jedno z najwspanialszych laboratoryów na świecie, a pierwszorzędne powagi naukowe uważają sobie za wysoki zaszczyt, jeśli pozwoli im pracować pod swojem kierownictwem. Tak nagły przeskok jest nawet w Ameryce czemś nader rzadkiem.

Działalność genialnego wynalazcy nie jest dzisiaj jeszcze dokładnie zbadana i oceniona; za miarę tego, czego dotąd dokonał, niech służy fakt, że już w 1890 r. liczba opatentowanych przezeń wynalazków wynosiła 500, a 300 nowych pomysłów było zgłoszonych do biur patentowych!

Zdawałoby się, że Edison zapracowany w swojem laboratoryum, spędzając $^4/_5$ swego życia pośród retort, maszyn i drutów, będzie zupełnie pozbawiony zmysłu do życia rodzinnego, lub wogóle zabaw i przyjemności. Możnaby sądzić, że nadludzkie wysiłki ustawicznie pracującego umysłu, wycisną jakiś ślad na usposobieniu Edisona, że będzie on odludkiem, zasklepionym w swoim fachu i nie dbającym o nic, co po za tem na świecie może istnieć.

Tymczasem rzecz ma się zupełnie inaczej. Ostatnia biografia znakomitego wynalazcy wydana niedawno przez p. F. Pahla, poucza nas, że Edison od najwcześniejszej młodości odznaczał się dobrem sercem i ciepłem, łatwem usposobieniem. Odnosi się to w szczególności do życia familijnego, za którem przepadał. Rodzice byli mu drodzy nad wszystko; w 12 roku życia starał się ulżyć ich doli, zarabiając, jak można było, na swoje utrzymanie. Wędrując po całej Ameryce, często o chłodzie i głodzie, znalazł zawsze jakąś sumkę pieniężną i posyłał ją do domu, aby dopomódz ciężko pracującym rodzicom. Szczególnie kochał matkę, która niestety nie doczekała tryumfów swego syna; zmarła w 1871 roku, t. j. w czasie, gdy Edison stawiał dopiero pierwsze kroki na drodze do sławy. W dwa lata później, założył Edison własne ognisko domowe, przy którem szukał wytchnienia i siły do dalszej pracy. Dziś, patrząc z okien swej z książęcym przepychem urządzonej willi Glenment, na strzelające ku niebu kominy swych laboratoryów, musi nieraz pewnie dążyć myślą wstecz, do tych czasów, kiedy jedynem laboratoryum Edisona, biednego roznosiciela dzienników, był rozklekotany wagon towarowy, w którym nieustanny hałas i wstrząśnienia, przeszkadzały pierwszym, dziecinnym doświadczeniom przyszłego wynalazcy fonografu.

Edison raz tylko opuścił Amerykę północną, udając się na wystawę powszechną do Paryża. Było to w r. 1889; specyalnie urządzony oddział fonografów wywoływał podziw i zdumienie całego świata, to też wspaniałym, entuzyastycznym owacyom na cześć wynalazcy nie było końca. Z nadsekwańskiej stolicy świata udał się Edison do Berlina, aby obejrzeć wspaniałe zakłady Niemieckiego Towarzystwa imienia Edisona oraz warsztaty i hale firmy Siemens i Halske. Rzecz naturalna, iż osoba jego była przedmiotem ogólnego zaciekawienia, a kto go raz widział, temu, jak twierdzi wyżej wspomniany jego biograf, Pahl, nigdy nie wyszły z pamięci niezwykłe rysy wynalazcy fonografu. Potężna głowa, wysokie gładkie czoło, spokojne jasne rysy twarzy i cała postać pełna godności i powagi, pozwalała domyślać się w nim raczej duchownego lub filozofa, aniżeli praktycznego, rzutkiego wynalazcy. Dopiero oczy, o dziwnie przenikliwem spojrzeniu zdradzały niespokojny, ciągle zajęty praktycznymi zagadnieniami umysł, a ruchliwość twarzy, na której w czasie rozmowy zwykł gościć dobroduszny uśmiech, nadawała mu wtedy zupełnie inny zewnętrzny wygląd.

Głównym i podstawowym rysem charakteru Edisona, jest równomiernie wesołe, słoneczne usposobienie. Jest ono jasnym dowodem, że olbrzymia, nadludzka nieraz jego praca nie jest wysiłkiem, lecz naturalną czynnością, która nie nadweręża w niczem olbrzymich zasobów umysłowych znakomitego elektrotechnika. Przy tem Edison należy do szczupłego grona wybranych ludzi, którym ustawiczne zajęcie jest wprost niezbędnem do życia, a niezwykła jego wytrwałość i pracowitość da się poniekąd wytłomaczyć tem, iż pracuje w umiłowanym przez się zawodzie. Jest to może największe szczęście na ziemi; szkoda, że tak mało ludzi może go zażywać.

Ruchliwe, pełne walk i przeciwności życie Edisona musi też obfitować w różne ciekawe zdarzenia, zwłaszcza że genialny wynalazca jest, mówiąc trywialnie, wielkim kpiarzem i żartownisiem. Z licznych krążących o nim z tego powodu anegdotek, wyjmujemy jedną, która dobrze charakteryzuje spokojny humor niepospolitego Yankesa,

Pewnego razu odwiedził go w Munlo-Park prezes towarzystwa elektrycznych kolei z kilku panami z rady nadzorczej, aby zbadać, jak daleko zaszły jego prace w tym kierunku. Goście zastali Edisona przy świeżo zbudowanej elektrycznej lokomotywie, a po objaśnieniu celu swego przybycia, zostali przez uprzejmego gospodarza zaproszeni do ulokowania się na maszynie. W przekonaniu, iż Edison pragnie im coś objaśnić, z pełnymi godności minami uczynili zadość jego wezwaniu, poczem wynalazca poruszył korbą i rozpoczęła się jazda.

Zrazu jechano dość wolno, lecz wkrótce szybkość poczęła się zwiększać, aż wreszcie kapelusze nieszczęsnych podróżników zostały uniesione prądem powietrza, a maszyna skacząc po zakrętach groziła w każdej chwili wykolejeniem. Próżne były zaklęcia i błagania gości, których strach dusił formalnie za gardło, Edison był nieubłagany. Szybkość jazdy wzrastała ustawicznie, aż wreszcie przeszła największe „rekordy“ kuryerskich pociągów; krzaki, słupy, ludzie, drzewa, przelatywały koło oniemiałych ze strachu „gości“ z odurzającą chyżością i dopiero gdy wybledli, drżący podróżnicy poczęli błagać Edisona o litość, zatrzymała się złowroga lokomotywa. Podobno niewcześni kontrolerzy pracy i zdolności genialnego Amerykanina, zmykali z Munlo-Parku ze stylową, bo błyskawiczną chyżością i pewnie nigdy im już więcej nie przyszło do głowy sprawdzać rzeczy, na których się nic a nic nie rozumieli. Taka nauczka nie mogła pójść w las!

Jang-tse.

Opowiadanie na tle życia kobiet w Chinach.

„Witaj! Witaj!“ rozbrzmiewały huczne, choć nieco piskliwe okrzyki wydawane przez kilkanaścioro dzieci, na przywitanie młodej misyonarki powracającej z dłuższego urlopu na swój posterunek. Cała „stacya“ była przybrana kwiatami, a radość malowała się na wszystkich twarzach; przecież w całem Jü-schau nie było nikogo, ktoby nie kochał Edyty Vernon, miłej uprzejmej a niestrudzonie czynnej Edyty. W jej szarych oczach, rzucających jasne blaski z pod długich czarnych rzęsów, spoczywał jakiś dziwny urok i oprzeć się mu było wprost niepodobieństwem.

„Witaj w naszym domu!“ powtórzyła jeszcze raz Helena Walker, obejmując czule swoją przyjaciółkę i pomocnicę, która od 5 lat wiodła na tej „stacyi“ missyjnej wspólne, poważne, pełne obowiązków i odpowiedzialności życie. „...W domu“ powtórzyła Edyta, jak przez sen... Słowo to brzmiało nakształt westchnienia, zdawało się, że młoda misyonarka usiłuje zrzucić z siebie jakiś gniotący ciężar; krótka walka wewnętrzna odbiła się w regularnych rysach jej twarzy, lecz tylko na chwilę. Silną wolą poskromiła wzburzone myśli i gdy na chwilę, wsparłszy się na ramieniu Heleny zeszła do przedsionka, zamienionego we wspaniały ogród kwiatowy, oblicze jej nosiło już ten zwykły, spokojnie — przyjacielski wyraz, do którego przywykły od początku cisnące się w około niej uczenice i służba.

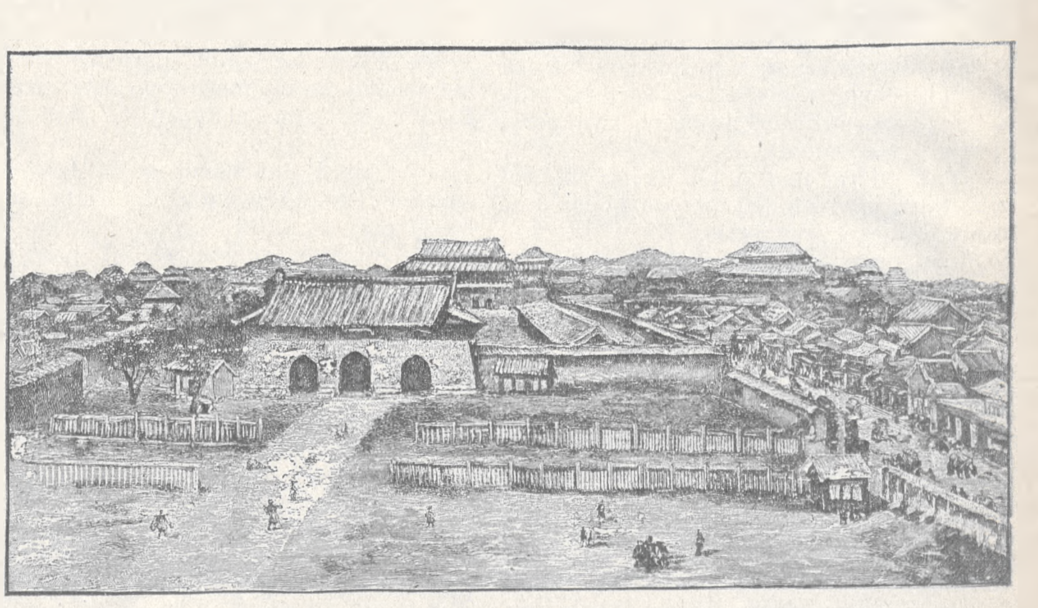
Edyta bawiąc w Europie u krewnych nie zapomniała o żadnej istocie z tej licznej gromady, mimo, iż nieobecność jej trwała rok cały. Wszystkie drobnostki, z których składał się świat myślowy tych biednych istot zachowała młoda misyonarka tak żywo w pamięci, jak gdyby jej dopiero wczoraj zostały zwierzone.

Ze szczególną, wyróżniającą się troskliwością przyciągnęła łagodnie do siebie młodą dziewczynę, która oddzieliwszy się od innych, stała w głębi ze zwieszoną na piersi głową.

— „Cóż to, Jang-tse — zapytała w tonie lekkiego wyrzutu — nie cieszysz się, iż znowu jestem z wami?“

— „Och, miss Edyto!“ — krzyknęła z płaczem młoda Chinka upadając przed misyonarką na kolana i kryjąc twarz w fałdy jej sukni.

Reszta dziewcząt spoglądała na siebie znacząco, szepcąc słowa litości i ubolewania. Przyczyna cierpień dręczących Jang-tse była im dobrze znaną i wszystkie odnosiły się do niej ze współczuciem. „Biedna mała!“ rzekła Helena Walker



Widok na pałac cesarski w Pekinie z murów dzielnicy tatarskiej.

lecz zanim otworzyła usta celem dania dalszych wyjaśnień, wzrok Edyty padł już na złote szpilki zdobiące włosy dziewczyny*), zrozumiała odrazu wszystko.

— Czyś zaręczona, Jang-tse?

Wiotka postać zapytanej dygotała, jak pod wpływem dreszczów, słowa odpowiedzi nie mogły się przedostać przez drżąca wargi.

Edyta, nie pytając już dalej, głaskała tylko drżącą, przytuloną do swych kolan główkę dziewczęcia. Na znak dany przez misyonarkę, usunęły się w milczeniu koleżanki płaczącej, tak, że Edyta została sam na sam z Jang-tse. Wtedy dopiero cały smutek przygniatający serce nieszczęśliwej dziewczyny znalazł wyraz w namiętnej, łzami przerywanej skardze.

„Za cztery tygodnie jest pierwsza zmiana księżyca, wtedy zostanę żoną Hia-won-tiego“, wyszlochała. „Och! A tak byłam szczęśliwą, słysząc, jak matka odzywała się do swatek, iż nie odda mnie taniej, aniżeli za 6 sznurów Tiau; taka odpowiedź równa się odmowie, gdyż nawet najbogatszy z mandarynów nie płaci tyle za swoją główną żonę. Już miałam nadzieję zostania na zawsze z rodzicami i z tobą pani; niestety, pokazało się, że matka umyślnie się ze mną drożyła, aby zachować mnie dla Hia-won-tiego. Rodzice przeznaczyli nas dla siebie jeszcze przed naszem przyjściem na świat, w razie, gdybyśmy byli chłopcem i dziewczyną. Nie widziałam jeszcze nigdy Hia-won-tiego, lecz wiem, iż należy on do najzaciętszych wrogów chrześcian. Zakaże mi przychodzić tutaj i nigdy już, nigdy pani nie zobaczę!!“

Potok łez niepozwolił jej mówić przez chwilę; wreszcie powstała z klęczek i cisnąc ręce Edyty do piersi zaczęła błagać: „O gdybyś Pani zechciała pójść do mego ojca! Od czasu gdyś ocaliła swem lekarstwem mojego brata od śmierci nie jest ci on w stanie niczego odmówić! Z pewnością mnie uwolni, gdy Ty go o to poprosisz!“

Edyta przyrzekła dziewczęciu spełnienie prośby, choć trudno jej było spodziedziewać się pomyślnego wyniku. Choćby Taï-tsung nie raz, lecz tysiąc razy pozwolił swej córce uczęszczać do szkoły misyjnej, chcąc w ten sposób wynagrodzić misyonarkę za uratowanie syna, to jednak do złamania słowa, danego przyjacielowi, było jeszcze bardzo daleko. Ustawy chińskie wyznaczają za takie przestępstwo 75 bambusów w pięty, więc było się nad czem namyślać. A jednak mimo zupełnej pewności, iż nic z tego być niemoże, trudno było Edycie odbierać nieszczęsnej Jang-tse ostatnią nadzieję.

Za chwilę, żółty palankin unosił młodą dziewczynę w kierunku Pekinu do domu rodzicielskiego. Jang-tse wychyliwszy się z lektyki długo jeszcze patrzała za nieruchomo stojącą Edytą, której oczy błądziły po okolicy, napół już ginącej w mrokach wieczoru.

Przed młodą misyonarką rozpościerała się równina pekińska, przecięta rzekami Pei-ho i Hun-ho. Nad bagnami Tschung-ting-ho unosiły się błędne ogniki, a góry Nankou sterczały ku niebu granitem swoich wierzchołków, nakształt zamku, strzegącego szesnastu bram stolicy niebios. Na widok skalnych zrębów ozwała się w piersi Edyty głucha tęsknota za daleką ojczyzną. Przypomniały się jej urocze doliny Szwajcaryi otoczone murem wyniosłych turni, pełne żywicznego zapachu sosen, kąpiących swe korzenie w czystych górskich strumykach. Ale nie czuła tak jak dawniej, chęci znalezienia się tam z powrotem, bo ostatni pobyt w kraju przyniósł jej gorzkie rozczarowanie. Edyta stała się obcą dla swej rodziny i nikt jej tam nie rozumiał. Myśli i dążenia młodej misyonarki były dla tych ludzi czemś zupełnie niepojętem, ona zaś nie miała nawzajem żadnego zrozumienia dla tego świata, w którym żyli jej najbliżsi. Atmosfera, w której jedno starało się wszelkimi sposobami, zazdrością, plotkarstwem i zawiścią — zatruć drugiemu życie, atmosfera fałszu i obłudy, była jej poprostu wstrętną.

Pośród sióstr i braci, zajętych jedynie myślą o tem, jakby zadowolnić chęć zabawy, błyszczenia i używania czuła się zupełnie obcą, a zimne ich wyrachowanie, brak idealnych porywów i młodzieńczego polotu ducha dziwił ją i odpychał zarazem. Siostry z roztargnieniem słuchały jej zwierzeń, wyglądając przez okno, czy nie pokaże się na ulicy jaki przystojny mężczyzna; bracia ubolewali nad jej losem, żałując zarazem pieniędzy marnowanych gdzieś na krańcu świata, przy nawracaniu chińczyków, którzy i bez wiary chrześciańskiej byliby szczęśliwi...

— Szczęśliwi? — Edyta przypomniała sobie błagalny wzrok Jang-tse, jednej z tysiąca kobiet zaprzedawanych rok rocznie w straszną niewolę, noszącą jak na urągowisko nazwę małżeństwa...

(Dok. nast.)

*) W Chinach każda narzeczona dostaje po zaręczynach od rodziców swego przyszłego męża złote szpilki do włosów. Prawo noszenia tej ozdoby przysługuje tylko narzeczonym.



Pałacyk myśliwski cesarza chińskiego koło Pi-yunt-sze

Nasze ryciny.

Pierwszą stronę dzisiejszego numeru zajmują kurtyny pędzla mistrza Henryka Siemiradzkiego. Jedna z nich zdobi widownię naszego teatru od początku jego istnienia, druga znajduje się obecnie w drodze z Warszawy, gdzie była publicznie wystawioną, do Lwowa i w najbliższym czasie będą już ją mogli podziwiać mieszkańcy naszej stolicy.

Najważniejszym wypadkiem wszechświatowej polityki w ostatnich czasach, było ustąpienie ks. Hohenlohe z urzędu kanclerza w państwie niemieckiem. Miejsce jego zajął hr. Bülow, a podobizny obu tych mężów stanu znajdą czytelnicy na 4 i 5 stronie naszego pisma.

Wypadki chińskie zajmują jeszcze ciągle uwagę całego cywilizowanego świata, a powstanie, mimo chytrze przez Chiny prowadzonych układów dyplomatycznych, zaczyna szerzyć się i w południowych prowincyach niebieskiego państwa. Pięć rycin, porozmieszczanych w dzisiejszym numerze może dać czytelnikom wyobrażenie o wyglądzie terenu, na którym rozgrywają się tak ważne o nieobliczalnej na razie doniosłości dziejowej wypadki. Są to: chińska dzielnica w Szanghaju, pałacyk myśliwski cesarza chińskiego koło Pi-yuntsze, gościniec w okolicy Pekinu zalany przez powódź, cmentarz wiejski w Chinach i widok na pałac cesarski w Pekinie z murów dzielnicy tatarskiej.

Kronika literacko-artystyczna.

LITERATURA.

* Hauptmann, autor „Dzwonu zatopionego“, napisał 2 nowe sztuki. 1-sza to dramat ze współczesnego świata artystycznego p. t. „Michał Krammer“ a druga p. t. „Biedny Henryk“ jest udramatyzowaniem średniowiecznej epopei niemieckiej.

* Nakładem wydawnictwa Władys. Okręta ukazał się przekład szkiców Rudyarda Kiplinga p. t. „Księga dżungli“. Przekład dokonany został z oryginału angielskiego i ozdobiony licznemi rysunkami.

* W „Bibliotece dzieł wyborowych“, w Nr. 153, wyszły „Opowiadania o starej Warszawie“ przez Wiktora Gomulickiego. Rzecz czyta się bardzo mile, a kilka ilustracyj, przedstawiających dawne gmachy, pożytecznie uzupełnia tę interesującą pracę.

* „Słownika języka polskiego“, wydawanego pod redakcyą J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwieckiego, wyszedł zeszyt VIII, obejmujący wyrazy od „Jednoskośny“ do „Kieczczysko“, na 160 stronach większej ósemki.

* „Albumu sztuki polskiej“, opracowanego przez Henryka Piątkowskiego i wydawanego nakładem drukarni P. Laskauera i W. Babickiego, wyszły zeszyty 9-ty i 10-ty. Zawierają one wyborne kopie obrazów: Budkowskieeo, Löfflera, Peszkiego, Hadziewicza, Brzozowskiego, Rustena, Suchodolskiego, Maleszewskiego, Norblina, Simmlera, Wojniakowskiego, Gierymskiego, Podkowińskiego, Lampiego, Piwarskiego, Matejki (Chmielnicki pod Lwowem), Bacciarellego (portrety), Gruglewskiego, Chlebowskiego, Kolberga, Rycerskiego, Brodowskiego, Leopolskiego, Dukszyńskiej, Smuglewicza (obrona Trębowli), i innych. Objaśnienia dołączone do tych rycin, a skreślone przez H. Piątkowskiego, ciekawe rzucają światło na dzieje naszej sztuki malarskiej. Strona wydawnicza, jak zawsze, jest bez zarzutu.

* Księgarnia K. Grendyszyńskiego w Petersburgu wydała szereg obrazków, przeznaczonych dla młodzieży p. t. „Z różnych chwil“ przez p. F. Morzycką i C. Niewiadomską. Jest tu 12 obrazków, poczynając od najdawniejszych czasów naszej historyi aż do imienin Mickiewicza w Paryżu.

* Nakładem księgarni K. Grendyszyńskiego w Petersburgu, w zbiorze „Życiorysy sławnych Polaków“, wyszedł życiorys Stanisława Moniuszki przez Bolesława Wilczyńskiego. Autor z wielkim pietyzmem, ale w sposób nieco mętny i zawiły opowiada życie autora „Halki“, oraz zastanawia się dość obszernie nad jego utworami. Do książki dołączony jest portret Moniuszki.

* Księgarnia Jana Fischera w Warszawie wydała trzeci tomik „Rymów i Rytmów“ Leo Belmonta. Tom ten zawiera same przekłady poetów francuskich, niemieckich, angielskich, czeskich, greckich, łacińskich, i. t. d. Tych ostatnich jest najwięcej, jak również Heine jest bogato reprezentowany, oczywiście jako poeta żydowski. Przekłady są bardzo dobre, niekiedy wykwintne, wydanie staranne.

* Prof. Józef Kallenbach zrezygnował z zajmowanej katedry we Fryburgu w Szwajcaryi i przyjął posadę bibliotekarza w bibliotece Krasińskich w Warszawie. Wykłady swoje w uniwersytecie fryburskim prowadzić będzie prof. Kallenbach w półroczu zimowem a do Warszawy przeniesie się dopiero z końcem półrocza.

Listy z linii A-B.

Kiedy zaraza ma uderzyć w Kraków,
Jej przyjście zgadnie źrenica Ignaca,
Więc zgromadziwszy cały sztab żydziaków,
Ogłasza, że już „rozpoczęta praca“.
Bieży na Kaźmierz podkasawszy spodnie,
A za nim biegną wierne żydki zgodnie.

„Giewałt! Wibory!“ Krzyczy wschodnia
[banda,
Towarzysz Haecker obciął swe pejsaki,
Czystą koszulę wdział Wiktor Bałanda,
Ogolić kazał się towarzysz Czaki,
Rotter podskoczył aż uderzył w pięty
I każdy nosi hałat oberżnięty.

Z zreformowaną tak żydowską zgrają,
Ignac chce wzmocnić jeszcze swych
[w przymierzu,
Więc towarzyszki różne wyławiają,
Które mieszkają głównie na Kaźmierzu,
Kaźmierz — stworzona agitacyi niwa,
Niechaj płeć „piękna“ na wybory wpływa.

Już występuje zaraza śmiertelnie,
I z każdej sfery bierze swój podatek.
Poczciwy Węgrzyn w kąt porzucił kielnię
Za nim Bociański spieszy. Na ostatek
I Krotowskiego widać — pedagoga,
Jeden cel mają, choć różna ich droga.

W drugim obozie zarzewie wybucha,
(Jeden Serkowski stoi niby kołek),
Postać Regera dominuje sucha,
Z wściekłością mruczy zażywny Misiołek
Pewnie coś złego knuje ta hołota.
Naprożno Węgrzyn dąsa się i miota.

Nie traci ducha wielki mąż od kielni.
Jak z rusztowania zwykł ongi na murze,
Ryknął: Hej! za mną sprzymierzeńcy
[dzielni!
Parol nasz — „Sokół“ — a miejsce Podgórze!
Nie zląkł się — poszedł — pokazał się
[chwacko
I tam wygłosił mowę kandydacką,

Lecz w żadnej piersi zapału ni śladu,
Żadna pierś, żadna na miarę Fidyasza!
— „Co i ty także chcesz tu mówić dziadu?
Przerwał z wściekłością mu towarzysz
[Flasza,
„Niechże go który tam pod ziobro kolnie!“
— Stój! — krzyknął poseł — wyjdę do-
[browolnie!

W sobotę burda znów w Hotelu Kleina,
Tam Mikołajski, że ma silne płuca,
Gardłuje żydom — jako rzecz zwyczajna,
Tam Przyjaźniaków za drzwi się wyrzuca,
Lecz jak mówiono „wszystko Bogu dzięki,
Koniec swój miało na złamaniu szczęki“.

Inni — są cali jeszcze do tej pory,
(Na siniec, guz się uwagi nie zwraca).
Kiedyż się czubić, jeśli nie w wybory?
Czyjeż pić zdrowie, jeśli nie Ignaca?
Któż wie, gdzie zwróci socyalizm swe ramię?
Ile łbów pęknie? ile szczęk się złamie?...

Jeden góruje, tak myślą jak wzrostem,
Nad kandydatów zgrają niedobraną,
Choć sam nazywa siebie „chłopem pro-
[stym“,
Uczciwe serce nosi pod sukmaną,
Panie Franciszku! Czas wystąpić jużby.
Obyś był Ptaku — ptakiem dobrej wróżby!

Amaris.

NADESŁANE.

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Kazimierz Ehrenberg.